Nr. 4. **Rok I.**

We Lwowie 21. października 1882.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.

„ZIARNO“ kosztuje:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

Na okładce każdego numeru umieszczają się INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę, tak miejscową jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.
tudzież wszystkie księgarnie.

☛ PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Firma F. FIALA dziś A. FIALA następce

32 lat istniejąca

urządziła nową apreturę kapeluszów

według sposobu francuzkiego

poleca swoją **fabrykę** i **skład** kapeluszów filcowych w rozmaitych i najelegantszych fasonach w najlepszym gatunku, własnego wyrobu w wielkim wyborze i bardzo przystępnych cenach

Kapelusze filcowe męzkie po 1 zł. 90, 2 zł. 50, 3 zł., 3 zł. 50, 4 zł., 4 zł. 50 i 5 zł.

Kapelusze filcowe dziecinne po 1 zł. 20, 1 zł. 50, 1 zł. 80 ct., 2 zł. i 2 zł. 50.

Cylindry własnego wyrobu lekkie i bardzo trwałe w najgustowniejszych fasonach od 3 zł. 50 do 5 zł. Także cylindry tak zwane **Adherend** od 5 zł. do 8 zł.

Wyrabiamy także kapelusze filcowe w najlepszym gatunku **a la Habig w Wiedniu** są one bardzo lekkie, ważą tylko 75 gramów i sprzedajemy je po 3 zł. 50 i 4 zł. 50.

Czapki podróżne i do polowania sukienne, jakoteż i filcowe.

Kapelusze strzeleckie w rozmaitych fasonach i różnych kolorach.

Szczególnie zwracamy uwagę szan. publ. na nasze **obówie filcowe** własnego wyrobu w najlepszych gatunkach i bardzo trwałe; do pokoju, do wyjścia, do podróży i do polowania.

Do odnawiznia przyjmujemy stare kapelusze i wykonujemy jak najprędzej.

Zamówienia wszystkie w naszym zawodzie wykonują się jak najrzetelniej i najakuratniej.

Dziękując przytem za zaufanie szanownej publiczności przez 32 lat, proszę także i nadal o łaskawe względy tejże, kreśląc się z wysokiem upoważaniem

Franciszek Fiala

zawiadowca handlu.

Perfumerye.

Rękawiczki. — Krawaty.

Magazyn nowości i drobiazgowy

W. BYSTRZONOWSKIEGO

Lwów ul Halicka l. 18.

poleca świeży transport najtaniej

Chustki włóczkowe

po 1. 1.50. 2. 2.50. 3. 3 50. 4. 5. 6. zł.

Sznurówki francuzkie

ceny zniżone

1.20 1.50. 2. 2.50. 3. 3.50, 4. 5. 6. 8. 10 zł.

Łaskawe zamówienia załatwiają się odwrotną pocztą.

wszelkie przybory do szycia i haftu.

Odszczególnione pięcioma medalami zasługi i listem pochwalnym

za znakomite środki owadogubne

mianowicie:

Fenilin radykalnie wytępia mole i zapobiega zagnieżdżeniu się takowych, jest przeto najlepszym środkiem do przechowania futer, sukien itp. Flakon 60 ct.

Mikoton niezawodny środek na wyniszczenie **pluskw.** — Flakon 50 ct.

Grylon wypróbowany środek na wygubienie stonóg, tarakonów, szwabów itp. dokuczliwych owadów. Flakon 30 ct.

Prawdziwy proszek perski na pchły itp. owady. Pakieciki po 5 i 10 ct., flakonik 30 ct., kilo 3 złr.

Papierki na muchy, sztuka 3 ct. tuzin 30 ct.

Allchemia polecam jako środek wypróbowany i niezawodny w swych skutkach na wytępienie **Grzyba domowego,** kilo 40 ct., beczki po 25 kilo 1·50, po 50, 2 59 po 100 kilo 3 złr. opisanie użycia franko.

J. IHNATOWICZ

2571 26-0 1 **magister farmacji i chemik sądowy**

Nabyć można we Lwowie w fabryce ulica Kopernika l. 3, u pp.: Kozłowskiego, Hawranka, Henryka Müllera i Bystrzonowskiego, w Krakowie we Filji Sukiennice l. 20, w Brodach u Witkowskiego, w Buczaczu u Müllera, w Brzeżanach u Millera, w Tarnopolu u Jamrogiewicza, w Stanisławowie u Macury, w Przemyślu u Nahlika, w Jarosławiu u Wisłockiego, w Samborze Marescha, w Podhaicach u Karzykiewicza, w Stryju u Wysoczańskiego, w Kołomyi u Stenzla.

Od wielu lat wypróbowanym środkiem wybornym przeciw gośćcowi, reumatyzmowi i cierpieniom nerwowym jest

Płyn gośćcowy

Franciszka Jana Kwizdy,

c. k. dostawcy nadwornego i właściciela apteki obwod. w Korneuburgu

GICHTFLUID von FRANZ JOH. KWIZDA K.K. HOFLIEFERANT.

Marka ochronna.

przydający się także wybornie przeciw **zwichnięciu, sztywności muszkułów i suchych żył, przekrwawieniu, zgięceniu, nieczułości skóry, dalej na miejscowe kurcze (kurcze w łydkach), przeciw bolom nerwowym, obrzękłościom, powstającym w skutek długotrwałych obandażowań, głównie także do wzmocnienia przed i po odbyciu wielkich wytężeń, po długich marszach i t. p., tudzież w podeszłym wieku na osłabienie.**

Prawdziwy dostać można w następujących składach:

We Lwowie en gross u apt. Piotra Mikolascha, en detail u p. Kaliksta Krzyżanowskiego apt., u p. J. Beisera apt., u J. Pipesa apt., Z. Ruckera apt., A. Sklepińskiego i H. Blumenfelda apt. Kraków en gross M. Jawornicki, en detail Markiewicz apt., E. Railer apt., W. Redyk apt., A. Siedlecki apt., F. Sobierajski apt., C. Wiśniewski apt. Bełz: A. Gross apt. Brody: J. Inlender apt., Ed. Liszka apt., M. Kulak apt. i K. B. Witosławski apt. Brzeżany: Dembiński apt., Jul. Hausberg apt. Frysztak: Haniewski apt. Husiatyn: Witold Czerski apt. Jarosław: W. Rohm apt. Jasło: J. Steinhaus. Jaworów: W. Lachowitz apt. Kołomyja: Edw Stenzel apt., W. Sidorowicz apt. Nowy Sącz: W. Filipek apt. Przemyśl L. Nahlik apt. Rzeszów: J. Schsitter & Comp. Sędziszów: J. Mizerski apt. Stanisławów: A. Amirowicz, Alb. Bail apt., J. Macura apt. Stryj: J. Zagórski apt. Tarnopol: F. Jamrogiewicz apt., H. Kahane apt. Tarnów: L. Chodacki apt., E. Rank apt., E. Ried apt., F. Wielogórski apt., W. Müldner & Comp. Żółkiew: A. Dadlez apt. Żydaczów: M. Bardasz apt. Żurawno: J. L. Tomaszewski apt.

Główny skład u Franciszka Jana Kwizdy,

c. k. nadwornego dostawcy i właściciela apteki obwodowej w Korneuburgu.

Cena flaszki 1 złr. w. a.

☞ Prócz tych składów we wszystkich znaczniejszych aptekach austro-węgierskiej monarchji.

Nr. 4. We Lwowie dnia 21. Października 1882 r. **Rok I.**



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Nasza Alma mater.

Z niemałym trudem dobiliśmy się tego, że uniwersytet lwowski przestał być niemieckim, że mamy nareszcie własną naszą, wszechnicę.

Nie dosyć jednak mieć uniwersytet, który ma być ogniskiem nauki ojczystej; trzeba jeszcze, by ognisko to wielkiem i jasnem gorzało płomieniem, a wyznać należy, że światło to nie jest pierwszorzędnego blasku.

Że obecny stan lwowskiej Almae matris rzeczywiście budzi obawę, — wiadomo każdemu, kto choć cokolwiek interesuje się jej sprawami, stara się wglądnąć głębiej i poznać faktyczne jej stosunki. Są one bardzo opłakane, czego powodem.. i własne nasze niedbalstwo.

Aby uniwersytet odpowiadał godnie swemu wysokiemu zadaniu krzewienia i posuwania naprzód wiedzy, powinien przedewszystkiem liczyć odpowiednią ilość katedr, powtóre — katedry te obsadzone być winne odpowiedniemi siłami profesorskiemi, Tymczasem uniwersytet lwowski nietylko. że nie posiada katedr dla bardzo wielu ważnych przedmiotów, ale nawet istniejące znajdują się w tak smutnym stanie, że prawdziwie wierzyć się nie chce, aby stosunki tego rodzaju przez tak długi przeciąg czasu istnieć mogły.

Aby nas nie posądzono o gołosłowność, pozwolimy sobie ukazać czytelnikowi, choć w ogólnych zarysach, ciemne strony wszechnicy tutejszej.

Cierpi ona przedewszystkiem na wielki brak sił profesorskich, a chorobą tą dotknięty jest w pierwszym rzędzie ten wydział, na którym główna waga każdego uniwersytetu polega. Jest nim fakultet filozoficzny. Otóż to jądro i podstawa każdej wszechnicy, jest u nas jaknajbardziej zaniedbana i osierocona. Oddział filozoficzny wydziału tego prawie że nie istnieje. Utalentowany ulubieniec młodzieży naszej, dr. Ochorowicz wyjechał, prof. Czerkawski wykład filozofii uważa za zajęcie poboczne, zupełnie absorbowanym będąc innemi czynnościami. O profesorze zaś Skrochowskim, który na wykłady swojej krakowsko-katolickiej filozofiki złowił w ubiegłem półroczu zaledwie trzech słuchaczów, co zmusiło go do zaniechania wykładów, zamilczmy raczej...

Wcale nie lepiej prezentuje się oddział historyczny. Zacny profesor historji powszechnej i dyrektor seminarjum historycznego, dr. Liske, złożony od dłuższego czasu ciężką niemocą; historji dr. Hirschberg zawiesił wykłady Polski, która dopiero ma być wykładaną. Pozostaje tylko dr. Szaraniewicz, na którego słabe barki spada tym sposobem cały trud kierowania młodem pokoleniem historyków...

Dwa inne oddziały: filologiczno-lingwistyczny i przyrodniczo-matematyczny, przedstawiają się w porównaniu z dwoma powyższymi znacznie lepiej, chociaż swoją drogą pozostawiają bardzo wiele jeszcze do życzenia. Brakuje im kilku katedr, że wspomnimy tylko o slawistyce, wykładanej przez docenta dra Kalinę, o romanistyce, którą tradował przed paru laty dr. Kruczkiewicz, i o lingwistyce porównawczej, której wykład nie obił się jeszcze o mury lwowskiej wszechnicy... Na oddziale przyrodniczo-matematycznym brakuje zaś przedewszystkiem tyle ważnej katedry astronomii. Co będzie z wykładami geografii, nie wiadomo dotychczas: katedra ta została już obsadzoną, ale dr. Rehmann nie ogłosił wykładów. Katedry zaś zoologii, po drze Syrskim opróżnionej, dotychczas jeszcze nie obsadzono, chciejmy jednak wierzyć drowi Radziszewskiemu, który w swej mowie inauguracyjnej zapewnia, że

„sprawa obsadzenia jej znajduje się na pomyślnej drodze.“

O fakultecie prawniczym wspominamy tylko pokrótce. Brak katedr i profesorów nie daje mu się w tym stopniu uczuwać, co wydziałowi filozoficznemu, zachodzi tylko potrzeba zastąpienia sił jego starszych świeższemi. Mamy tu na myśli w pierwszym rzędzie dra Buhla, który ze względu na swój wykład w języku niemieckim jest w r. 1882 na lwowskim uniwersytecie anachronizmem. Dr. Rittner półtora już roku nie wykłada wcale.

Choroba kilku naraz profesorów nie dałaby się zapewne tak dotkliwie uczuć, gdyby uniwersytet nasz posiadał tak, jak inne wszechnice, podwójne katedry i więcej docentów. W razie zasłabnięcia jednego profesora byłby odrazu gotowy zastępca, gdy tymczasem u nas w takim razie albo wykłady zupełnie ustają, albo zastępstwo powierza się profesorowi, wykładającemu inny przedmiot, na czem tracą i słuchacze i sam zastępujący profesor, oderwany tym sposobem od prac, którym wyłącznie poswięcać się powinien.

Poruszyć nam jeszcze należy sprawę wydziału lekarskiego, którego konieczność we Lwowie nadarmo siłą się wykazać tak senat akademicki, jak i delegacja nasza we Wiedniu. Uzupełnienie czwartym fakultetem uniwersytetu naszego, jest rzeczą dla niego wielkiej wagi, i jak najsłuszniej powiedział nowy rektor w swej mowie inauguracyjnej, że „od żądania tego nie możemy żadną miarą odstąpić, albowiem z istnieniem medycznego fakultetu związany jest rozwój, pomyślność i bodaj, czy nie byt lwowskiego uniwersytetu.“ To też brak wydziału lekarskiego przyczynia się także w niemałym stopniu do obniżenia poziomu naukowego znaczenia wszechnicy lwowskiej.

W obec takiego stanu rzeczy nie dziwmyż się wcale, że uniwersytet nasz, jeżeli gdziekolwiek o nim mowa, wszędzie niepochlebny o sobie sąd wywołuje. Sąd ten jest najzupełniej sprawiedliwym. Gdyby inne uniwersytety równą jaśniały świetnością, jak nasza a l m a m a t e r, — wiedza ludzka z pewnością ani na krok nie posunęłaby się naprzód. Przyczyną tego są anormalne stosunki, w jakich się znajduje nasz uniwersytet, składają się zaś na nie z jednej strony przyczyny, o których bliżej tu mówić nie możemy, z drugiej własne nasze niedbalstwo, niezaradność...

N.

Z TAJEMNIC WIOSKI.

NOWELLA
przez
SEWERA
(Ciąg dalszy).

III.

— Nie przyszedł — odezwała się z świtaniem tego samego dnia Sara, wyskakując z łóżka.

— Nie przyszedł bo się bał, — odpowiedział matce leżąc w łóżku Josek, z podpartą głową na ręku.

— Nie taki on skory do bania się — mówiła matka — pewnie gdzie szachruje. A niech robi co chce, ale niech nas nie ssie.

— Niech idzie na złamanie karku! — zawołał Josek z mocą.

— Josłe nie krzycz ty tak na niego, bo on może majątek zrobi. On nie głupi.

— Zyzma? — zawołał Josek zdziwiony.

— Tak, tak, Zyzma, — a wtedy może dałby co Mojżeszkowi, on go czasem głaszcze.

— Ja mu dam — rzekł Josłe z dumą.

Sara wybiegła ze skopkiem i konewką wydoić Łaciatą i dać jej resztki wczorajszej wyki, aby śladu po niej nie zostało. — Josek przysiągłszy sobie, że Mojżeszkowi da pięć, a Ryfce dwa guldeny z odziedziczonego po matce — usnął.

— Josełe — wołała budząc go matka — ja już lecę.

— A to gdzie? — indagował syn.

— Do Szczurowy, sprzedaję chleb i bułki piekarzowi.

— Jaki zarobek?

— Do pięćdziesięciu centów dociągnę.

— Kiedy tak, to leć matka i wracaj na południe.

Sara z pewnym rodzajem dumy pogłaskała po twarzy ukochanego Josła.

— Pilnuj wszystkiego — jak oka w głowie.

— Przecież to moje — odparł z powagą Josek.

Sara chciała powiedzieć, że będzie musiał podzielić się z Mojżeszkiem — Ryfce coś dać, lecz milczała, nie chcąc osłabiać energii swego pierworodnego.

Po odejściu matki Josek wstał, aby zobaczyć ile ma dzisiaj mleka. Wszystko co było w domu, uważał za swoją własność, z łaski tylko i konieczności tolerował Mojżeszka i Ryfkę. — Chociaż milczący i bojaźliwy, był hardy, dumny i namiętny.

Rozwarły się z impetem drzwi,— Josek zbladł i zmarszczył czoło.

— Gdzie matka? — zawołał wpadając do izby polowy, za nim stał przysięgły.

Josek nie raczył odpowiedzieć. Polowy schylił się pod łóżko.

— A gałgany, to człowiekowi odetchnąć nie dadzą, wypić kieliszka wódki nie można, żeby zaraz coś nie zwędzili.

— Pij wiele chcesz i zapij się — przemówił z godnością Josek.

— A ty kundlu stul gębę, bo ja ci ją zamknę. — Dygnitarze wybiegli z chaty. — Josek dla powagi wdział chałat, nałożył krymkę na głowę i wyszedł za nimi, trzymając ręce w kieszeniach.

Polowy po drabinie dostał się na strych, i zły zszedł na dół. Jednem uderzeniem nogi, uzbrojonej w podbity gwoździkami but, rozwarł drzwi obórki. Patrzył, szukał i nareszcie znalazł niedojedzoną łodygę wyki.

— A to co? — krzyknął przytykając ją do nosa Joskowi.

— Czego ty chcesz? odparł z dumą i spokojem chłopiec.

Rozgniewany polowy uderzył go w twarz trzymaną łodygą.

— A to tego ja chcę, żebyście szelmy żydy nie kradły. — Josek uciekł — i z gniewu zaczął się drzeć ile miał tylko sił.

— Gwałt — zabija, rozbójnik — ratujcie!!

Z przyległych chat wybiegły gospodynie.

— I cóżem mu zrobił — tłumaczył się wystraszony polowy, — że mu dałem w pysk tą gałązką. — Podniósł gałązkę w górę i pokazał ją śmiejąc się.

Josek ciągle krzyczał, trzymając się ręką za twarz.

— Tak ci się ino drze ze strachu i bez złość, to żydowskie plemię — dodał przysięgły.

Josek otarł oczy, wpadł do izby — Mojżeszek i Ryfka zbudzeni krzykiem, dzwonili ze strachu zębami.

— Ryfka ubieraj Mojsia, — krowę pędź na wał, będę tam czekał na was. Chatę zamknąć na kłódkę. Masz tu kawałak chleba dla ciebie i Mojsia. — Rozdał chleb dzieciom, wziął kij do ręki i poszedł z wielką powagą na most czekać powrotu matki.

Ledwie przyszedł, zobaczył Sarę obładowaną koszem chleba, idącą powoli pod górę. Podbiegł do niej opowiedzieć o zajściu z polowym.

— Nic nam nie zrobi, — pocieszała matka syna. — Miałam iść prosto do Zaborowia, ale teraz skręcę na Dołęgę.

Ryfka, Mojżesz i Łaciata nadbiegli.

— Idźcie paść na Szczurowskie, bo nuż ten gałgan zobaczy, gotów krowę zająć.

— I ja tak myślałem — odparł Josek.

— Boś ty mądry, boś ty mój syn! — zawołała żydówka skręcając od Świętego Antoniego na prawo drogą ku Dołędze

Dochodząc do dworu ustroiła smutną na pół zrozpaczoną minę, wsunęła się do garderoby, i zobaczywszy panią zaczęła płakać skarżąc się i opowiadając, jak polowy zkatował jej dziecko, — jak je zbił, że leży chore, że ona nieszczęśliwa sierota z czworgiem dzieci, gdzie się podzieje, co ze sobą zrobi, kiedy jej tak ludzie dokuczają, a ona ciężko na kawałek chleba pracuje.

Pani Dołęzka dobra, łagodna, wierząca ludziom do zbytku, pocieszała jak mogła matkę czworga dzieci, przyrzekając pogrozić polowemu. Sara otarła oczy z łez, rozkładając chleb i bółki na stole. Utargowała za pięćdziesiąt centów, lecz z guldena wydała tylko czterdzieści.

— A gdzież jeszcze dziesięć centów

— Co za dziesięć, jakie dziesięć? — pytała robiąc wystraszoną minę.

— Szachrujesz moja Wałowa, i nie przychodź tu więcej. Dziękuję ci za twoje usługi.

— Ach pani! — zawołała wystraszona żydówka, całując w rękę dziedziczkę. — Czworo dzieci — szepnęła, — czem je wyżywię? — Dziesięć centów dla pani to nic, a dla mnie świat! — Gorąca łza z oczu Sary spadła na rękę dobrej pani. Wałowa pochwyciła kosz z chlebem i pełna radości pobiegła do Zaborowia, do dworu, na plebanię, do organisty i profesora.

Zaledwie wróciła do chaty — wpadł wójt, — na dworze został Bartek Czarnik zaglądając przez otwarte okno.

— A cóż ty sobie myślisz żydówko trzymać tyle gęsi? — wołał wójt — Nie masz ani jednego zagona własnego gruntu, a pół kopy gęsi chowasz na gromadzkiem! Krowy nam poschły jak szczypy, bo żydowskie gęsi palą pastwisko, że już i trawki nieuświadczy. — Żebyś mi je jutro na jarmarku do nogi wyprzedała.

— Zaraz może? — zawołała zarumieniona z oburzenia Sara. — Sprzedam, ale i wy swoje sprzedajcie i cała gromada niech swoje wyprzeda.

— Głupia, my mamy po dziesięć morgów gruntu, płacimy podatki i ty nam tu chcesz rozkazywać?!

— Chcę! — krzyknęła, — bo mam prawo za sobą, wolno mi jak i wam.

— Wybiję jutro wszystkie! — wołał wójt.

— Sprobujcie tylko, — a jutro polecę do Radłowa do sądu.

Bartek Czarnik ogoloną swoją twarz wsunął przez okno do izby.

— A to skaranie Boskie z temi żydami. Pół kopy gęsi tak poniszczyło trawę przed moją chatą, że jej na lekarstwo nie uświadczy, — i trzeba będzie krowinę sprzedać bo zeschnie do cna.

— Tylko wy tu niedowodźcie, rozumiecie — wasza krowa obuchana ledwo chodzi, ludzie na nią pracują, ci — co ich krzywdzicie.. — Ty tu nie wtykaj swego paskudnego łba, na którym cięży pomsta ludzka — rozumiesz? wrzasnęła pełna gniewu i oburzenia.

— A cóż ty sobie żydowico myślisz? odezwał się Bartek, dotrzymujący placu ze wstydu przed wójtem.

— Co ja myślę, — to że ludzi obdzierasz i pasiesz swoje krowy i siebie ich łzami. A cóżeś ty zrobił z Kudliną co? — Wałowa ujęła się pod boki i zwróciwszy się do wójta mówiła dalej.

— Pożyczył biednej kobiecie dziesięć papierków, — a za procent wziął cztery zagony jęczmienia, zebrał z nich pięćdziesiąt snopków, wymłócił, miał półtora korca, sprzedał, dostał dwanaście papierków — a słoma, a plewy...

— Żebyś ty tak jutra nie doczekała!— przerwał Czarnik.

— Milcz! — zawołała, opowiadając dalej wójtowi. — Biedna kobieta nie mogła mu oddać na wiosnę tych głupich dziesięciu papierków bo ją zniszczył; — chciałam jej pożyczyć, ale Bóg mi świadkiem nie miałam. — No i wziął jej na procent sześć zagonów!— A na żydów wydziwiają i pomstują. — Kudlina głupia nie umie sobie dać rady. Jabym z tobą poradziła. — Ty mnie nie zaczepiaj

Wystraszony Czarnik cofnął się do okna — wójt czuł się troszkę za sąsiada upokorzony i drapał się w głowę.

— Gęsi jutro choć połowę sprzedać — powiedział dla powagi i wyszedł.

— Mamo to moje gęsi — rzekł Josek.

— Twoje — odparła matka głaszcząc pierworodnego po twarzy.

— Ja nie chcę żeby je sprzedawać. Co oni mają za prawo do moich gęsi?

— Niesprzedam ani jednej! Albo ja ich się boję? Niech mnie tylko zaczepią! — pogroziła. — Ten stary gałgan lichwiarz Czarnik, on mi jeszcze będzie zazdrościł. Ja nie pożyczam, ale jak zacznę, to nie będę tak ludzi obdzierała jak on! Boi się tego i chce żebym zkapała *), bo ludzie do mnie się garną.

— Cóż chleb? — spytał Josek.

—Wiesz Josle, sześćdziesiąt centów zarobiłam, ale nóg pod sobą nie czuję. — Pani Zaborowska kazała mi kupić agrestu i porzeczek — zarobię, — Pani Dołęzka masła,— zarobię... Wiesz, nie trzeba już wyki psuć, pięcioro dzieci — pani dobra.

— Później jak urośnie, — jak zaczną kosić dla dworu — odezwał się Josek.

*) Zkapać znaczy zbiednieć, zmarnieć.

— Później i tylko troszeczkę, — dobra pani, a dzieci pięcioro.

Sara po ostatniem zajściu w Dołędze i przebaczeniu jej przez panią, przysięgała sobie nigdy już jej nie krzywdzić. Skłopotana zapomniała o Mojżeszku i Ryfce bawiących się z Zawrzykrajką nad brzegiem Rudawy. Zawołała dzieci, wyjęła z kieszeni obwarzanek, i rozdzieliła go między nie. Josek był za stary i za poważny na obwarzanek. Zresztą i obwarzanek był jego — i on to go dawał dzieciom. Tak sobie myślał, przechadzając się po izbie włożywszy ręce za pas chałatu.

* * *

Bartek Czarnik wracał do domu markotny i smutny. Plan zgnębienia żydówki nie udał się. — Na gęsiach zarobi Sara sześćdziesiąt papierków i rozrzuci je między ludzi. Pożyczy i innym, spłacą go i co będzie z pieniędzmi robił?

Czarnik sprzedał pięć morgów gruntu, zaledwie dwa morgi i chatę zostawił dla siebie, pieniędzmi obracał pożyczając je na zagony, — a że był chciwy i głupi, nie umiał się umiarkować i ciągnął ile mógł,— obdzierał ludzi, niszczył ich, a zazdrościł żydom. — Nienawidził Wałowej i radby ją utopić w łyżce wody. — On to sprowadził na nią wójta i przemyśliwał, w jakiby sposób źródło jej majątku — trzydzieści sztuk gęsi wymordować.

— Bartek Czarnik gorszy żyda — mówili ludzie — kto mu w ręce popadnie, musi zkapać i już nic z niego nie będzie.— Bali się go chociaż był słodki, usłużny, Pana Boga chwalił, do kościoła chodził, bił się w piersi i z gromnicą w szeregu z innymi podczas nabożeństwa przed wielkim ołtarzem klęczał. — Ludzie się bali Bartka Czarnika,— i nazywali go krzywdą ludzką, a Bartek bał się żydów, bo im zazdrościł.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NOC CZERWCOWA.

(Wspomnienie).

Czaru pełna i pełna pogody
Noc na niebie! Czerwcowa noc cicha!
W górze błyszczą gwiazdek korowody,
Ziemia cała snem ciepłym oddycha.
Stare lipy, konary pnąc w górę,
W czar ujęte ciemności i głuszy,
W sen zapadły i stoją ponure —
Żaden listek się na nich nie ruszy...
A my dwoje pod temi lipami,
Luba moja! my dwoje i sami!
Noc czerwcowa i gwiazdy nad nami...

Wietrzyk zerwał się w dali samotny,
Nieruchome gałązki drzew musnął,
Kwiatkom główki poruszył i psotny
Coś im szepnął, i ucichł, i usnął...
I zbudziły się kwiaty z doliny
I półsennym zadrżały przestrachem ;
Pachną róże i pachną jaśminy
Jakimś silnym, namiętnym zapachem...
Woń upaja, odurza i mami!
Daj mi dłonię, o luba, my sami...
Noc czerwcowa i gwiazdy nad nami!..

Czy cię przeląkł ten szelest na ziemi?...
To się senne zbudziły motylki,
I trąciły skrzydłami drobnemi
Wiotkie trawy zielonej badylki —
I ztąd szelest przeleciał nad ciszą...
Jeszcze chwieją się trawy kobierce
I pieszczochów w sen znowu kołyszą.
Luba! słyszę, jak bije twe serce!...
Do ust moich się przytul ustami —
Nikt nie dojrzy w tej chwili — my sami!
Noc czerwcowa i gwiazdy nad nami!...

Nie obawiaj się świateł, co błysły,
To nie szpiegi, by śledzić nas nocą...
To się gwiazdy nad ziemią rozprysły
I na skrzydłach owadów migocą.
Czar i cisza!... Do mego pójdź łona!
W piersi ogień... krew pali mi skronie!...
Włos twój pachnie!... Czemu drżysz strwożona?
Ziemia cała w namiętnych snach tonie!
Nikt nie śledzi! Ust nie broń!... My sami —
. . . .
Noc czerwcowa i gwiazdy nad nami...

Klemens K.

Wiek i jego prawa
w wychowaniu

przez
Ludwika Hodolego.
(Ciąg dalszy).

Podobnych przykładów wpływu fizycznego wieku ucznia na rozwój jego sił umysłowych, możemy jeszcze więcej znaleść w literaturze pedagogicznej, są to jednak rzeczywiście jakby tylko luźne przykłady, a brak im ujęcia w pewien stały system, któryby był miarodawczym dla dydaktyki. Nadto niemal ogólną jest tu i ta niedokładność, że zwykle autorowie zajmują się pod tym względem tylko kilku pierwszemi latami życia dziecka, i aż do unudzenia powtarzają jeden za drugim, jak dziecko karmić, ubierać, jak je uczyć poznawania kolorów, przedmiotów i t. d. a późniejsze okresy młodości zbywają tak, jakby one nie miały wcale swych specjalnych ~~wymóg~~. wymagań.

Stoy w swej encyklopedji pedagogii (Lipsk 1878) odróżnia dydaktykę progressywną, która wskazuje, jaka materja, forma i technika nauki jest stosowną dla rozmaitych stopni wieku, rozglądnąwszy się zaś za odnośną literaturą, wspomina ledwie o Schwarzu i pani Necker de Saussure, których dzieła jednak traktują prawie tylko o wieku dziecinnym, a zupełnie zaniedbują inne stadja. Sam nawet Stoy, mimo swego świetnego zdania, że „pedagogia winna się stosować według stopni wieku, jak kalendarz podług miesięcy,“ ledwie w krótkim ustępie wspomina o owej dydaktyce progressywnej i nigdzie więcej nie odnosi się do niej tak, że owo zdanie jego wygląda raczej na okolicznościowy frazes, niż na myśl pierwszorzędnego, dominującego znaczenia, która się ciągle winno mieć na uwadze.

To też rzeczywiście nie pozostaje nam i dziś nic innego, jak tylko do pewnego stopnia powtórzyć ową skargę Śniadeckiego, że nie wykazano jeszcze prawideł, wedle których władze umysłowe rozwijają się, a tem mniej jak je stosownie do wieku kształcić wypada.

W najnowszej literaturze pedagogicznej znajdujemy jednak osobliwie u A. Baina i Herberta Spencera nader cenne uwagi, które wprawdzie nie całkowicie i nie zawsze bezpośrednio odnoszą się do metody progressywnej, ale wielce ją wspierają. Mamy tu na myśli metodę logiczną Baina i naturalną H. Spencera.

Dydaktyka progressywna t. j. stosowana do fizycznego wieku, opiera się na tem twierdzeniu, że cała kwestja przystępności lub nieprzystępności pewnych gałęzi nauk dla pewnego wieku, ma swą fizyczną podstawę. Mózg bowiem rośnie bardzo prędko do 7go roku i ma wtedy u chłopca wagę 40 uncyj. Od 7—14 roku, kiedy osiąga wagę 45 uncyj, jest wzrost powolniejszy, a jeszcze bardziej powolnym staje się między 14. a 20. rokiem. Stąd też, co niezrozumiałem jest dla chłopca w pewnym wieku, może być zrozumiałem za parę lat, chociaż mu się tego przez cały ów czas nie tłumaczyło. Osobliwie widzimy to w matematyce, gdzie nawet różnica dwu lub trzech lat wiele znaczy. W takich jednak przedmiotach, jak w matematyce, z natury tej umiejętności zaczynamy od pojęć najprostszych, i postępujemy do coraz ogólniejszych i zawilszych tak, że widzimy tu pewien naturalny, logiczny pochód, który się da z wiekiem ucznia w parę zestawić. W innych naukach jest to następstwo więcej zawikłane, i wymaga głębszego zastanowienia, a jeżeli je mimo to wprowadzamy w pierwsze stadja wychowania, to powinniśmy je zrobić przystępnemi i uprzyjemnić, co jest rzeczą sztuki wychowania.

Metoda więc logiczna Baina i naturalna H. Spencera może wielkie usługi oddać także i naszej metodzie progressywnej, wszystkie bowiem liczą się z każdorazowemi siłami i zdolnościami ucznia, stosownie do jego wieku, wszystkie pytają o progresję, „co uczyć najpierw, co potem a co na końcu,“ wszystkie uczą nas w pedagogii ekonomii, co, jak, kiedy i ile uczniowi podawać.

Pod pewnym jednak względem metoda progressywna objawia swą odrębność od owych dwu pokrewnych metod. Gdyby mózg przy urodzeniu miał te same siły, co i w wieku młodzieńczym a był tylko co do wrażeń tabula rasa (czystą tablicą), wtedy pojedyńcze, elementarne wrażenia przychodziłyby najpierw, a po nich następowałyby złożone, rzeczy zmysłowe szłyby przed umysłowemi i t. d. tak, że logiczny porządek służyłby jako principium następstwa. Zważyć jednak musimy, że nie mamy do czynienia z dorosłym, lecz z dorastającym mózgiem, a więc i zdolnościami, że tedy pewne nauki dlatego trzeba na późniejszy wiek odkładać, ponieważ wymagaja większych zdolności, większej uwagi, jakiej uczniowie w młodszym wieku nie posiadają. „Przyroda bowiem,“ jak mówi H. Spencer, „jest to nieubłagany rachmistrz: jeżeli od niej w pewnym względzie więcej, niż potrzeba, zażądamy, potrąci to sobie z innych naszych potrzeb. Jeżeli zaś nie tamując naturalnego jej biegu, poprzestaniemy tylko na dostarczaniu materjałów surowych do umysłowej i cielesnej budowy ciała, a to w ilości, odpowiadającej potrzebom każdego wieku, w takim razie przyroda wytworzy niewątpliwie osobnika, którego rozwój we wszystkich częściach będzie mniej lub więcej harmonijnym.... Nigdy nie należy o tem zapominać, że siły żywotne w każdym okresie życia są ograniczone, że zatem tylko pewną liczbę wyników otrzymać możemy.“ — Osobliwie uskarżają się często na młodych nauczycieli, że nie znając sił i potrzeb uczniów a pamiętając zbyt o celu i urządzeniu nauki uniwersyteckiej, występują z wykładami, które uczniowie mogą nawet podziwiać ale ich nie rozumieją. Zamiast więc uczyć, popisują się sami i gniewają się na „ograniczoność“ uczniów, którzy ich górnolotności dorównać nie mogą. Tu rozstrzyga pojętność wieku a nie przedmiot sam, zasada progressywna a nie logiczna. Bain i Spencer przyznają sami, że ich metody rozwijają się nietylko wedle logicznego, naturalnego następstwa przedmiotow samych, lecz że się ciągle oglądać muszą na wiek a więc siły ucznia, i według tego ulegać modyfikacjom.

Najściślej zaś z metodą progressywną stoi w związku zasada psychologiczna, która żąda, aby umysłowi w tym porządku dostarczać nauk, jak się w nim wiedza tworzy. Umysł tworzy najpierw pojęcia, potem sądy, wreszcie wnioski: — w wychowaniu początkowem mamy więc uczniowi to podawać, co

w nim może wyrobić jasne pojęcia, mamy go zapoznawać z wielością przedmiotów, aby rozszerzyć widnokrąg jego pojęć, mamy mu udzielać „nauki o rzeczach;“ w następnem stadjum winniśmy wyrabiać trafność sądu — nauka o faktach; w końcu rozwijamy trafność wniosku: badania, krytyka, porównania i t. d.

Godząc w ten sposób wszechstronne wymagania, możemy w końcu ustanowić ogólne prawidła metody nauki, wedle których całokształt wychowania stosować się winien, jeżeli ma uwzględniać wpływ fizycznego wieku ucznia, na rozwój jego sił umysłowych. Prawidła te, normujące stosowanie nauki do wieku, są następujące:

Od rzeczy i pojęć pojedyńczych do złożonych. Że w nauce języków uczymy fleksji przed składnią, to jest nietylko koniecznością logiczną ale i fizyczną, gdyż inaczej przekroczylibyśmy granice pojętności ucznia. W matematyce zaczynamy od liczenia i elementarnych operacyj nietylko dlatego, że to jest logiczną podstawą operacyj więcej złożonych, lecz także dlatego, że zdolności początkującego ucznia nie dorosły jeszcze do spekulacji i kombinowania pojęć złożonych. Pod przymusem w jakiejkolwiek formie wyuczy się ostatecznie dziecko i rzeczy złożonych, ale tylko pamięciowo czyli raczej mechanicznie, rozumieć zaś ich żadną miarą nie może.

Zasadę tę stosować należy nie tylko do poszczególnych gałęzi nauk, ale i do ogółu wiedzy. “Ponieważ umysł,“ — powiada Spencer, „początkowo tylko niektóre swe zdolności rozwija, a następnie stopniowo coraz to nowe do współdziałania przyjmuje tak, że w końcu wszystkie jednocześnie czynnie występują, przeto nauczanie też powinno się zaczynać od kilku tylko przedmiotów, a następnie powoli do tych przedmiotów inne należy przyłączać, aż nareszcie wszystkie w skład jego wejdą. Nie tylko w szczegółach, lecz i w całości wychowania należy zdążać od rzeczy pojedyńczych do złożonych.“

Od rzeczy nieoznaczonych do oznaczonych; od wiedzy powierzchownej do ścisłej. Jak budowa mózgu jest początkowo niedoskonałą, tak też i jego czynności, skąd pochodzi, że pierwsze pojęcia i zdania są mylne lub niepewne Z początku niewyraźnie pojmuje umysł różnicę między przedmiotami, i dopiero stopniowo dochodzi do rozpoznawania subtelnych różnic.

Dlatego to jeszcze w niższem gimnazjum powinno się ile możności unikać subtelnego określania pojęć, a osobliwie rozróżniania pojęć zbliżonych, jak np. co to jest giętkość a sprężystość, ciężkość a ciężar i t. d.

W ogóle we wszystkich podręcznikach dla niższego gimnazjum widzielibyśmy chętniej rodzaj jakby wypisów do wolnego opowiadania, niż katechizmów, z których nie można opuścić ani jednego słówka. Przeciwnie w wyższem gimnazjum, gdzie więcej zależy na ścisłości, byłoby to rozwlekłością nie na miejscu i nie odpowiadałoby warunkom, jakim młodzieniec podołać już może i powinien.

Na tej podstawie wypadałoby z matematyki uczyć jeszcze w niższem gimnazjum tylko elementarnych rzeczy, posiłkując się tylko tu i ówdzie jakby dla powolnego przygotowania łatwym dowodem, a dopiero w wyższem gimnazjum z całą ścisłością żądać uzasadnienia nawet najbardziej elementarnych pojęć, postępując ku coraz zawilszym. Matematyka oparta na ścisłych dowodach, wydaje nam się w niższem gimnazjum anomalią, przechodzącą siły ucznia, rzeczą do której on jeszcze nie dorósł. Dowodów matematycznych wyuczają się chłopcy w tym wieku tylko mechanicznie, nie będąc jeszcze zdolnymi do logicznego rozumowania: stąd to owo ślęczenie, biadanie i bezradność ich w obec dowodów matematycznych, stąd owe ich skargi, że „matematyka jest bardzo trudną,“ podczas gdy w wyższem gimnazjum z zupełną łatwością im ona przychodzi (jeżeli tylko profesor umie ją jasno wykładać!)

Co do historji, to wypada nam tu koniecznie zaprotestować przeciw mięszaniu do niej wielu bajek w niższem gimnazjum, co ma jej wrzekomo ująć nieco ścisłości i przystępniejszą ją uczynić. Przedewszystkiem chłopiec mimowolnie nabierze przekonania, że gołosłowne i nic nie znaczące bajki, najczęściej dla sfałszowania historji ukute, przecież coś wartają, kiedy się z niemi liczy historja. Lekki i piękny styl powinien ten cel uprzystępniania historji spełniać, a nie bajki! Podnieść wymownie rozmaite bohaterskie i niezwykłe, pełne poświecenia czyny wystarczy, aby rozciekawić tych, którzy rozkoszują się nad Rinaldinim lub Robinzonem. Historja każdego narodu mniej lub więcej obfituje w bohaterskie czyny, a te będą dla chłopców dostateczną zaprawą jałowych faktów historycznych.

Podobnie z wypisów polskich i niemieckich dla niższego gimnazjum wypadałoby powyrzucać wszelkie bajki oprócz niewielu klasycznych z poezji, i zastąpić je ustępami z różnych umiejętności, któreby chłopców i rozciekawiły i czegoś nauczyły. Zdaniem mojem żywy przykład z historji lepiej pouczyłby chłopców, niż długa allegorja ze zwierzętami i t. d., która wreszcie per ambages dochodzi do sensu moralnego zawartego w kilku słowach. Wcale zaś nie rozumiemy już znaczenia i potrzeby niedorzecznych bajek prozą pisanych i z powietrza pochwyconych. Oprócz kilku bajek klasycznych, których ocena literacka kwalifikuje się właściwie dopiero do wyższego gimnazjum, powinno się je w niższem gimnazjum zupełnie pomijać. Bajki nie odpowiadają już wiekowi gimnazjalistów!

Lecz nawet dla wieku niżej dziesięciu lat, wypadałoby także pomyśleć, szczególnie w wychowaniu domowem, o wyrugowaniu owych bajek o strachach, piernikowych pałacach z karmelkowemi oknami i t. d., które mogą zająć chwilowo dzieci, „żeby nie krzyczały,“ ale bałamucą je w sposób niezgodny z racjonalnem wychowaniem. W owej uroczystej chwili, kiedy to zwabiamy dzieci do siebie magicznem odezwaniem się: „Chodźcie, opowiem wam bajkę!“, zamiast puszczać wodze fantazji w gromadzeniu niedorzecznych nadzwyczajności, lepiej pomyśleć o jakiem ciekawem a pouczającem opowiadaniu. Bajki nie są ową jedyną wyżyną, na którą wznieść się może ciekawość i pojętność dziecka! Sam opowiadałem często dzieciom od 3—6 lat w przystępnej formie rozmaite ustępy z historji, nauk przyrodniczych i t. d. a przecież „bajki“ moje były dla dzieci „bardzo ciekawe i ładne“ a ilekroć pokazałem się w drzwiach, już mię oblęgano z prośbą o „bajki.“ Tym wreszcie, którzy nie chcą wierzyć, żeby rzeczy naukowe można dla dzieci zrobić przystępnemi bez unudzenia ich, przypominamy, że znakomity fizyk Thomson urządzał z wielkim skutkiem odczyty z fizyki dla dzieci niżej dziesięciu lat.

W gimnazjum należałoby tem skrupulatniej powyrzucać wszystkie bajki, ile że dyktuje to i ekonomia czasu, którego nigdy dość nie ma, bo wiele rzeczy przyjemnych i pożytecznych aż się prosi, ale pomijane bywają dla braku czasu.

W wyższem gimnazjum powinno się bezwzględnie z wszelką ścisłością traktować naukę, bo wiek jest po temu. Nie żądać w tym wieku ścisłego, logicznego wyrażania się, byłoby uspieniem zdolności, zaniedbaniem budzących się sił. Ścisłość taka potrzebną jest nie tylko dla nauki, ale i dla charakteru. Sokrates powiedział, że cnota jest wiedzą tego, co czynić należy. Zaiste! gdyby ludzie dobrze myśleli nad wszystkiem, co robią, nie byłoby życia nad stan, więc i nędzy, nie byłoby tylu nieszczęść, występków i zbrodni.

Dla młodzieńca jest wreszcie ścisłość naukowa lekarstwem na rodzaj choroby, której bardzo często wiek ten ulega dla przyczyn fizycznych. Gdy bowiem chłopiec dochodzi do dojrzałości, staje się skłonnym do marzycielstwa. Wtedy właśnie jest pora dla nauk ścisłych, które łącząc z sobą różnoro-

dne zjawiska łańcuchem przyczynowości, zmuszają umysł do zgłębiania rzeczy i odwodzą od bezmyślnego gapiostwa. Że marzycielstwo, które w młodzieńcu gapiostwem jest zwykle, zaiknąćby musiało w człowieku, który nie nad powierzchownością rzeczy gapi się, lecz głębiej w nie wnika, o tem wątpić nie należy. O ile polot fantazji młodzieńczej jest pięknem znamieniem młodości, o tyle bezmyślne marzycielstwo czyli gapiostwo nie może być w niej cierpianem. Znam jednego matematyka, który, będąc jeszcze uczniem gimnazjalnym, wyleczył się z czczej, rozleniwiającej go miłostki bez celu za pomocą matematyki, do której też odtąd z zapałem na całe życie przylgnął, (co mu jednak nie przeszkodziło w należytym czasie z miłości się ożenić).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Mój pierwszy utwór sceniczny.*)

przez Alfonsa Daudet'a.

Podczas ostatniej wystawy paryskiej, szedłem pewnego dnia przez bulwary. Ulice i trotoary roiły się kosmopolitycznym tłumem cudzoziemców i przybyszów z prowincji; wśród odurzającej wrzawy, złożonej z krzyków, przekleństw, turkotu wozów i trzaskania z biczów, przeciskały się przez ciżbę ogromne omnibusy i dorożki, wszystko napchane „po brzegi," dążąc długim łańcuchem ku polom Marsowym. Gdym się znalazł w pobliżu „Grand hotel'u," ujrzałem w tej chwili grupę szejków arabskich, występującą z sieni hotelowej. Milczący ci wojownicy pustynni szli zwolna dumnym krokiem, a zdawali się tak mało uwagi poświęcać i dziwić wielkiemu Paryżowi, jak prawdopodobnie ich przodkowie, za czasów Jugurty, gdy stanęli wśród murów wielkiego Rzymu. Warto było popatrzeć na malowniczy strój tych gości z daleka: trzy obszerne burnusy, narzucone jeden na drugi, jako znak potęgi i bogctwa, wysokie buty skórzane koloru szkarłatnego, biały „haik" naokoło skroni, przepasany rzemykiem ze skóry wielbłąda, a przez piersi wielka wstęga legii honorowej, szeroka szarfa z dużym ciężkim krzyżem — ta wysoko ceniona odznaka honorowa, której ci właściciele afrykańscy używają często zamiast chusteczki do nosa — tak potężną jest jeszcze prostota tych szlachetnych synów Sahary, mimo że i tam cywilizacja nasza puściła już szerokie zagony. Nie pierwszy to raz spotkałem ich dzisiaj, i nie pierwszy raz widziałem wczoraj, gdy dążąc konno do Vincennes na przegląd wojska, cały Paryż wprawili w podziwienie przepysznemi swemi rynsztunkami i kostiumami. Ja i oni, byliśmy starzy znajomi i przyjaciele. Na ślicznym arabskim koniu dowodził im mój poczciwy Bach-Aga-Bualem, którego przez ostatnich ośmnaście lat nie widziałem wcale — stary, zawsze okropnie chudy i wysoki, a jak węgiel czarny Bach-Aga-Bualem, o wiecznie zapadłych policzkach, głowie kształtu małpiego lub wilczego, i dziwnie pięknych ale nie mniej także dzikich oczach. Nie mówiłem z nim obecnie — później wytłumaczę powód tego — co za wspomnienie jednak obudziło we mnie to spotkanie! Jakby w bajce, na skinienie różczki czarnoksięskiej, zniknęły mi nagle z oczu gwarne bulwary ze swemi tłumami przechodniów, przez chwilę zda się, migały w powietrzu, a potem w mgłach się rozpłynęły: pałac opery ze złoconemi szczytami i kościół Magdaleny z greckim swym frontem; w miejscu tego ujrzałem nad sobą błękitne niebo, słońce palące, i widokrąg bezgraniczny. Wiadomo, że na skrzydłach fantazji pomyka się szybko i daleko, toteż i teraz znalazłem się ogromnie daleko od Paryża, lutowe słonce afrykańskie pogodnego dnia z r. 1862 ogrzewało mnie rozkosznie, byłem w dolinie Szeryfa, głęboko na południu Algieru. Przedemną roztaczała się szeroka, co najmniej trzydziestomilowa płaszczyzna, na prawo i lewo okolona podwójnym szeregiem gór, które migocąc w blasku słońca kolorem złotym i fioletowym na przemian, wyglądały zupełnie jak olbrzymie ametysty; tu i tam widniał w oddali karawanseraj, wioska, czasem przelatujący marabu, to znowu pokazały się na jasnym horyzoncie czarne ruchome punkty, które — gdyby nie czysty błękit nieba nad głową i jak okiem w około zasięgnie, zamiast trzód, czem były, wziąćby można za cienie chmur, przeciągających nisko po nad ziemią. Do południa polowaliśmy, później gorąco zbyt dokuczało, więc mój gospodarz Bualem rozkazał rozbić namiot. Jedną jego ścianę podniesiono, skutkiem czego widać było spory kawał horyzontu. Przed namiotem stały konie z pospuszczanemi ze zmęczenia głowami, parę kroków dalej chłopak młody, leżąc na piasku wyciągnięty, gotował dla nas mokkę w garnuszkach, nad skąpym ogniem ze suchych korzonków, z których dym wąziutki unosił się w górę pionowo; my odpoczywaliśmy w milczeniu na miękkich dywanach, zasłonięci przed skwarem słońca białem płótnem namiotu.

Śliczny był to dzień, i szkoda że przeminął tak rychło — tęskno mi dziś na wspomnienie tych kilku chwil złotych, które spędziłem tak błogo ze zacnym Bualem-Ben-Szeryfem, i jego przyjaciółmi, Si-Slimanem, Sid-Omarem i Agą Atafem! Powtarzam, tęskno mi dziś po latach prawie dwudziestu — a jednak, o jak nielogiczną i fałszywą jest natura ludzka! wówczas tam w Algierze — wyznać to muszę — tęskniłem do Paryża!

Tak jest — wzdychałem wtedy do Paryża, który zmuszony byłem opuścić nagle chcąc ratować zdrowie, zszargane mocno trzyletnim nowicjatem w zakonie literackim; i złorzeczyłem w duchu wygnaniu memu z grona tych wszystkich, których kochałem, i z tego pięknego miasta, gdzie porzuciłem tak drogie mi dzisiaj jego mgły, dziennik, nowe książki, owe codzienne pogadanki poobiednie z przyjaciółmi w zwykłej naszej kawiarni, lub wieczorem pod fasadą teatru, — tę ciągłą gorączkę Paryża i entujazm jego dla sztuki, który pod namiotem afrykańskim przezentował mi się jedynie ze swoich stron najlepszych. Już to najgłówniej przyczynił się do tej tęsknicy mój utwór — pierwszy w życiu utwór sceniczny — o którego przyjęciu na scenę Odeonu, dowiedziałem się był w dniu mojego wyjazdu.

To pewna, że pejzaż przed oczyma miałem bardzo piękny, a oprawny w ramy oryginalne i dziwnie poetyczne; z tem wszystkiem jednak byłbym chętnie oddał Algier i widniejące w dali szczyty Atlasu, Bualemę z jego przyjaciółmi, ciemny błękit nieba, karmazyn róż oleandrowych, wszystko — za szarą kolumnadę Odeonu z jego wązkiem wejściem na scenę i maleńką lożą portjera, wyklejoną od sufitu do posadzki autografami i portrecikami artystów i artystek. Jak to, więc gdzieś daleko w Afryce wiodłem teraz żywot jakiegoś rycerza z wieków heroicznych, podczas gdy tam w Paryżu, ów korytarz wąski, który mnie widział drżącego i pełnego bojaźni, gdym szedł doręczać mój utwór — byłby teraz mnie ujrzał kroczącego tryumfalnie i z miną młodego autora — udającego obłudnie ogromną skromność i zakłopotanie! Czułem się upokorzony myślą, że tu niemal poniżałem się, obcując z arabskimi szejkami, wyglądającymi wprawdzie malowniczo, lecz bynajmniej nie odpowiednimi dla towarzystwa człowieka inteligentnego — podczas gdy tam, hen — nad Sekwaną — sufler, maszynista, dyrektor, reżyser, i liczna banda wyróżowanych aktorek i świeżo ogolonych aktorów, zajmowała się pilnie moją sztuką! Oddechałem w rzeczywistości świeżym i ostrym zapachem, zalatującym z niedalekich drzew pomarańczowych, gdy przeciwnie mój zmysł powonienia spragniony był, tej tak dla mnie wówczas dziwnie ponętnej woni, którą zwykle wydzielają kulisy teatralne! A ta poważna

*) Ta humoreska jest jednym rozdziałem, wyjętym z obszernego dzieła tego znakomitego pisarza, które ukazać się ma niebawen, p. t „Memoires d'un homme du lettres"

ceremonja — czytanie utworu w obecności całego personalu artystycznego: na pulcie karafka z wodą, szklanka z cukrem, rękopis i lampa. Potem próby, nasamprzód w foyer koło wielkiego komina, następnie na scenie, pokrytej bezdenną tajemniczą ciemnością, a zawalonej meblami i dekoracjami, z widokiem na pusty, grobowo głuchy i lodowaty amfiteatr, w którym wśród zmroku rysują się nieznacznie kontury pająka, zpowitego w koszulkę. A gdy już nadejdzie długo wyglądany wieczór przedstawienia, jak pięknie prezentuje się fronton teatru, oświetlony łańcuchem lamp, ekwipaże zajeżdżają, koło kasy ścisk i gwar — tyle ruchu wszędzie; niecierpliwe wyczekiwanie rezultatu, w towarzystwie wiernego przyjaciela, nareszcie zjawiają się czarne ufrakowane sylwetki z zawiadomieniem, że zasłona już spadła, i nazwisko autora reżyser podniesionym głosem rzucił na pastwę oklaskującym lub gwizdającym słuchaczom.. „Naprzód bracie — szepce poczciwy towarzysz — i głowa do góry! Teraz należy pójść obaczyć, jak rzeczy poszły, podziękować aktorom, a potem uścisnąć dłoń znajomym, którzy Cię oczekują w kawiarni...“ Tak marzyłem na jawie, z oczyma szeroko rozwartemi i wlepionemi w płócienny strop namiotu, przez który usiłowały przedrzeć się palące promienie afrykańskiego słońca zimowego. Wyjrzałem przez szeroki otwór, słońce już się chyliło ku zachodowi, zabarwiając rąbek widokręgu różowem światłem, nad rozległą płaszczyzną panowała cisza, przerywana od czasu do czasu jedynie echem pobrzękującego gdzieś w dali dzwonka, lub melacholijnemi głosami pasterzy, nawołujących swoje trzody.

Nic zresztą nie zakłócało moich snów na jawie. Moi gospodarze, rozumieli — wszyscy czterej razem, — zaledwie dwadzieścia słów francuskich, ja najwięcej około dziesięć arabskich. Nasz wspólny znajomy, który mię w prowadził w ich towarzystwo, i jako tłumacz nam służył (hiszpański handlarz zboża, z którym poznajomiłem się w Algierze), nie był w tej chwili z nami, gdyż uparł się był polować dalej, nie zważając na upał; więc też w głębokiem milczeniu spoczywaliśmy wszyscy, paląc grube papierosy, jeden po drugim, i popijając wyśmienitą czarną kawę z malutkich filiżanek.

Nagle powstał hałas przed namiotem. Psy poczęły szczekać zajadle, posługacze nasi zbiegli się ze wszystkich stron, tuż przed namiotem pojawił się na koniu olbrzymi spaha w czerwonym burnusie i zawołał: S i d i D a o u d i?

To depesza z Paryża, która goniła za mną z jednej wsi do drugiej, począwszy od Milianah, i dopiero tu nas dopędziła. Zawierała jeno te kilka słów: „Sztukę grano wczoraj, powodzenie wielkie, przedstawienie znakomite“. Przeczytałem tych parę słów — tak mi drogich, raz drugi i setny — nie mogłem się nasycić niemi, zupełnie, jak to się praktykuje z długo wyglądanym listem od kochanki.... Pomyślcie tylko: to był pierwszy mój utwor!.. A czarni towarzysze moi, widząc mię tak wzruszonego, z rozpromienionym wzrokiem i drżącemi rękami, uśmiechali się hultaje, i zamienili pomiędzy sobą kilka słów po arabsku. Po chwili najuczeńszy z nich, zebrawszy całą swą wiedzę obcego języka, zdobył się na pytanie: „F r a n c e... n o u v e l l e s..: f a m i l l e? — Ależ nie, to nie wiadomość familijna, coś zupełnie innego i lepszego! I czując potrzebę podzielenia mej radości i szczęścia z kimś drugim, postanowiłem z pomocą znanych mi kilku słów arabskich w połączeniu z temi dwudziestoma francuskiemi, które oni posiadali, wytłumaczyć im, co to jest teatr, i co znaczy dla autora pierwsze przedstawienie jego utworu w Paryżu. Oczywiście zgadnąć łatwo, że trud mój był daremny. Atoli w młodym wieku nie rozpacza się tak rychło! Wyszukiwałem porównania, nadrabiałem żywą gestykulacją, w końcu wywijając w powietrzu niebieską kopertą depeszy, chcąc im koniecznie być zrozumiałym, powtarzałem niezliczone razy „K a r a g e u s! k a r a g e u s! — jak gdyby moja sentymentalna i na łzy cnotliwe spekulująca jednoaktówka, dała się w czemkolwiek porównać do przerażająco idjotycznych fars pierwszego lepszego humorysty tureckiego, — a Odeon, ów klasyczny Odeon, miał choćby cień podobieństwa do której bądź z owych dusznych spelunk po miastach maurytańskich, gdzie każdego wieczora, mimo surowych zakazów policji, poczciwi Muzułmani ubawiają się do upadłego cynicznemi opowieściami i żartami, rodzimych swoich komików!

Wszystko to było jednak niczem innem, jak tylko rodzajem afrykańskiej fata morgana. W Paryzu czekało mię rozczarowanie. Wróciłem tam niezwłocznie, prędzej—niżeli byłby na to pozwolił lekarz i rozsądek. Lecz cóż mię teraz obchodziły mgły i śniegi, które nad Sekwaną zastać miałem, i czy mogłem dziś żałować za cudownym lazurem afrykańskiego nieba?! Ujrzeć moje dzieło, a potem — choćby umrzeć! Wsiadłem na okręt — wylądowałem... jużem w Marsylji... już, już w Paryżu. Gdym wyskoczył z wagonu, była godzina 6 wieczorem, nad miastem zmrok panował głęboki. Zapominając o dokuczającym mi głodzie, rzuciłem się w dorożkę: „Hej! co koń wyskoczy do Odeonu!“

Ledwie zająłem krzesło w amfiteatrze, zasłona się podniosła. Licznie zgromadzona publiczność przedstawiała oryginalny widok. Że to były zapusty, i w każdym lokalu łacińskiej dzielnicy miano tańczyć noc całą, więc mnóstwo studentów i studentek przyszło do teatru w kostiumach redutowych, aby spędzić tu dwie godziny wieczorne. Gdzie spojrzeć, widziało się arlekinów, pierrotów, kolombiny, słowem pstrokaciznę barw najrozmaitszych. „No — trudno to będzie — pomyślałem — poruszyć do łez tych warjatów!“ Mimo to zaręczam wam — wiele z nich płakało, a płakało tak rzewnie, że temu lub owej garb na przodzie błyszczał do światła z wilgoci. Przedemną naprzykład siedział „trefniś,“ któremu ze wzruszenia dzwonki u kapuzy co chwilę brzęczały — po lewej znowu ręce pierrotka — jakaś otyła „Liza,“ z sercem widocznie nadzwyczaj czułem, bo dwa potoki łez z okrągłych jej oczu, wyżłobiły na pomączonych tłustych policzkach dwie szerokie smugi, z czem naturalnie wyglądała nader pociesznie.

Owa depesza algierska zawierała prawdę: moja jednoaktówka odniosła wielki sukces. Lecz cóż na to powiecie? — gdy widzowie płakali a potem sala grzmiała frenetycznemi oklaskami, autor sztuki byłby najchętniej czuł się przynajmniej sto stóp pod ziemią... tak mi się wydała okropną tego wieczora! Nie — to nie moje... tłumaczyłem sobie. Czyż podobna poznać mi mojego bohatera w tym grubym panu, który aby wyglądać poważnym i nader cnotliwym ojczulkiem, ucharakteryzował się w maskę beranżerowską?! A jednak — przyznaję obecnie — byłem wówczas bardzo niesprawiedliwym. Aktorowie bowiem wywiązali się z ról, jak mogli najlepiej, i bez wątpienia im zawdzięczyć miałem wielką część powodzenia. Atoli rozczarowanie moje było zbyt silne, a różnica wydała mi zbyt wielką pomiędzy owem, co sądziłem, że napisałem, a tem wszystkiem co mi się teraz ukazało plastycznie przedstawiono. Wszystkie braki, jak zmarszczki u starca, wystąpiły na jaw w jasnem oświetleniu, i nie dziw, żem cierpiał męki okropne, widząc mój ideał tak do niepoznania zmieniony! Mimo wzruszenia i zadowolenia widzów, czułem się przygnębiony brzemieniem jakiegoś niewysłowionego wstydu i pomięszania. Czułem, jak krew gorąca, postępując coraz wyżej, cisnęła mi się do mózgu. Były chwile, iż zdawało mi się, że te figury maskaradowe poznały mnie, i naigrawały się ze mnie z nieubłaganem szyderstwem. Zlany potem, bez oddechu w piersi, bez głowy, podwajałem w myślach gesta aktorów. Chciałem, aby prędzej ruszali się na scenie, mówili szybciej, byle tylko skończyły się

jak najprędzej katusze moje! Ach, jakże odetchnąłem, gdy kurtyna zapadła, i przedarłszy się przez tłum z przedsionka teatru, pędem ściganego złodzieja pomykałem po pod mury ulicami, ukrywszy głowę głęboko w kołnierz palta, i unikając pilnie wzroku przechodniów!

Od tego czasu wiele rzeczy napisałem dla sceny, nigdy jednak nie mogłem się pozbyć nader przykrego wzruszenia, ilekroć którekolwiek z dzieł moich po raz pierwszy pojawiło się na deskach teatralnych. Podziwiam młodych i starych dramaturgów, i zazdroszczę tym panom, którzy podczas prób z pewną satysfakcją stawiają swoje krzesło koło budki suflera, poprawiają, dysputują, kreślą, dodają, a robią to wszystko całą duszą swoją i umysłem... a wieczór podczas pierwszego przedstawienia, siadają w środku amfiteatru, bawią się wyśmienicie, naostatek sami brawa biją, z zadowoleniem osiwiałego żołnierza, zwycięzcy — wśród bitwy. Bez porównania lepiej już rzecz się ma z książką, która treści swej nie wystawia na pokaz i sama nie wyzywa. Podnosząca się kurtyna robi szmer, jak gdyby sukienkę darto na kawałki, i oto dziewicze stworzenie, nagie i bezbronne, staje na widoku jako przedmiot ciekawości dla dwu tysięcy nielitosnych oczu! Przypomina mi to zawsze owe nieszczęśliwe dziewczęta, które drżąc z zimna i kuląc się ze wstydu, za talara rozbierają się w pracowni artystów, by im pozować jako modelki. — To też, jeśli kiedy napiszę co i dam do grania na scenę, porzucę Paryż i ucieknę w świat, daleko za morze do ojczyzny starego Bualemy... tam ze spokojnym umysłem będę wyczekiwał złej lub dobrej nowiny, którą po długiem szukaniu, wśród pustyni doręczy mi nareszcie piękny jaki spaha w czerwonym płaszczu.

Ale, ale — zapomniałem wytłumaczyć, dlaczego nie zbliżyłem się do poczciwego Bualema-Ben-Szeryfa, gdym go podczas wystawy spotkał na bulwarze koło „Grand hotel'u." Powodem tego była pewna okoliczność, która mię żenowała. Ów hiszpański handlarz zboża, który mię przedstawił był zacnemu szejkowi, jak słyszałem później, skończyć miał swoją karjerę nader fatalnie... Wśród tych kolonij, zaludnionych przybyszami z całego świata, często bardzo robi się znajomości, nie znając się bliżej nawzajem. To też zdarza się, że pewnego pięknego dnia usłyszeć można coś podobnego:

— Jakże tam idzie temu pięknemu chłopcu, no —pan wiesz przecie, o kim myślę?

— Tak, tak... wiem... poszedł na galery! Oto są ujemne strony kolonizacji....

Przegląd literacki.

Jan Czarnecki. Rys dziejów starożytnych. Zeszyt I. i II. Lwów, nakładem autora 1882. str. 102 w 8ce.

Daleko już odbiegliśmy od kronikarsko-belletrystycznego zapatrywania na historję. W jaki sposób spisywano kroniki — wiemy dokładnie. W jaki sposób traktowała historję szkoła, która w Macaulay'u, Thierrym, a u nas w Szajnosze znalazła swych wyrazicieli — mamy w świeżej pamięci. Nie do pogardzenia są notaty i opowieści kronikarzy, tem cenniejsze im więcej obejmują szczegółów dziejowego materjału. Z przyjemnością też wczytujemy się w plastyczne i barwne odwzorowanie dziejów, tak jak chętnie widzimy historyczne dramaty na scenie.

Nauka jednak ściśla stawić musi historji poważniejsze jeszcze wymagania. Skoro też przekonanie o przyczynowym związku wszystkich objawów życia ludzkiego, coraz silniej zaczęło się wkorzeniać w umysły ludzkie, powstał w nauce historji kierunek pragmatyczny, doszukujący się przyczynowego związku dziejowych wypadków. Od takiego zaś historycznego pragmatyzmu krok już tylko jeden do poszukiwania praw rządzących rozwojem dziejowym, co rozpoczęli już Vico, Turgot i Herder, i z takim talentem prowadzili dalej Comte, Buckle i Draper.

Gdy przytem na tak naukowem stanęła historja stanowisku, trzeba było rozszerzyć teren dziejowych obserwacyj, i wciągnąć w zakres historji coś więcej prócz rozpamiętywania losów dynanstyj, śledzenia za przebiegiem kształtowania się państw, prowadzonych przez nie wojen, i zawieranych przez różnych wodzów i panujących, traktatów. Wciągnięto wtedy w krąg badań historycznych stosunki społeczne, przemysł i handel, całą słowem wewnętrzną historję społeczeństw.

Idąc konsekwentnie dalej w tym kierunku, pozostało tylko połączyć życie historyczne narodów z rozwojem warunków przyrodzonych, w jakich się ono odbywało, ażeby w zupełności odpowiedzieć wymaganiom nowoczesnej nauki dziejów.

Tą też drogą poszła nauka historji.

Pochód jednak taki nie odbywa się zwykle zbitą i zwycięzką falangą Po za torującą nowe drogi awangardą, ciągnie cała armia ciężkiej rajtarji, wlecze się przytem także sporo zapóźnionych maruderów.

Między tymi ostatnimi wielu jest takich, co nie czując w sobie dość talentu i odwagi, do śmiałego postępowego pochodu, powtarzają na tyłach stare bajki, chętnie je opowiadając młodym i starym dzieciom, pozując przytemna rzekomych popularyzatorów „nauki historycznej".

Pan Czarnecki inną zupełnie obrał drogę, zabrawszy się bowiem do napisania popularnego zarysu dziejów starożytnych, umiał pójść śmiało w pierwszych szeregach badaczów dziejowych.

Zeszyt wstępny „Rysu" zapoznaje nas z „dziejami przedhistorycznemi", jak się one rozwijały na tle geologicznego rozwoju naszej planety, i łącznie z rozwojem całego życia organicznego.

Przy takiem traktowaniu dziejów, otwierają się przed nami rozległe widnokręgi. Życie organiczne, od czasu gdy w ciepłem morzu formacji laurentyńskiej poczęły się pierwsze jego zawiązki, trwa już przybliżenie lat 700.000; upłynęło już 350.000 lat od czasu, gdy człowiek, jako najwyższy szczebel na drabinie istot organicznych, pojawił się na widowni. Napotkawszy wyraźne ślady człowieka w trzeciorzędowej formacji plioceńskiej, autor śledzi następnie jego dzieje w dwu ostatnich okresach geologicznych: dilluwialnym i alluwialnym, przechodząc kolejno potem kamienną, brązową i żelazną epokę kultury.

Prastary Egipt, kolebka naszej cywilizacji, dziejami swemi sięga na kilka tysięcy lat wstecz po za erę chrześcijańską. Autor w zeszycie drugim przebiega ginące w pomroku wieków dzieje tego kraju, zapoznając nas z wewnętrznemi i zewnętrznemi przyczynami, które powodowały wzrost i upadek egipskiego społeczeństwa, obznajamiając nas z jego kulturą, religijnemi wierzeniami, ustrojem społecznym i państwowym, nauką i sztuką.

Nie możemy głębiej zapuszczać się w te zamierzchłe dzieje, które tak umiejętnie rozsnuł przed nami p. Czarnecki — nadmienimy tylko, że, „Rys" jego, tak pod względem przejęcia się spółczesnemi naukowemi poglądami, jak i pod względem jasnego i dosadnego wykładu, wypowiedzianego nader poprawnym, czystym i barwnym językiem, jest dziełem o zaletach niepoślednich, i rzadkiem nader w naszej literaturze historycznej zjawiskiem.

B. N.

(Fünfzehn Essays von Hermann Grimm. Dritte Folge. Berlin, Ferdinand Dümmlers Verlags-buchhandlung 1882.

Autor znakomitego studium o Michale Buonarottim, ogłosił obecnie nowy szereg szkiców literacko artystycznych, w których jest przekład dwóch studjów Emersona o Goethem i Shakespearze, służących za ilustrację niejako do nekrologu amerykańskiego pisarza, zmarłego roku bieżącego; a dalej studjum o trzech braciach Grimma Wilhelmie, Jakóbie i Ludwiku, które pomimo pietyzmu, jaki autor zachowuje dla swych najbliższych, mają w sobie dużo prawdy histo-

rycznej, a odznaczają się przed innemi chyba tylko wspaniałą formą. Kto zna Grimma z pism dawniejszych, wie aż nadto dobrze, że umie on połączyć ścisłość i dokładność krytyczną z nadobną i zajmującą formą. To samo da się powiedzieć również o dziele jego leżącem przed nami, dziele, które odznacza się wśród powodzi krytyczno-literackich rozpraw, głęboką znajomością rzeczy i szerokim na świat poglądem. Grimm nie mówi nigdy o żadnym autorze i dziele jako o rzeczy zamkniętej w sobie, ale umie należycie ocenić wpływy otoczenia, i przedstawić rzecz każdą na tle ogólnych prądów cywilizacyjnych.

W szeregu prac obecnych spotykamy między innemi urywki z życia Rafaela, i czytając je wyrazilibyśmy z pewnością życzenie poznania całości, gdybyśmy niewiedzieli, że autor właśnie nad dziełem takiem pracuje. I w istocie szkoda by było tych mozolnych studjów, jakie musiał on, biorąc się do pisania życia Michała Anioła, poczynić także nad Rafaelem, gdyby one miały pójść na marne. Kilka urywków zamieszczonych o Rafaelu w zbiorze, pozwala się spodziewać, że Grimm o wielkim mistrzu z Urbino będzie umiał podać tyle zajmujących uwag, ile ich poczynił nad życiem i dziełami twórcy „Mojżesza". Tyle na razie o studjach Grimma.

Dla uwieńczenia sprawozdania naszego powiemy chyba o nader oryginalnej rozprawie, o powstaniu owej legendy ludowej o drze Fauście. Jest to, według słów autora, tylko urywek z większej pracy, a przecież ileż w niej interesujących a nowych szczegółów! Grimm wywodzi tu z ilu rozmaitych pierwiastków złożył się „Faust" Goethego, i sądzi że ów dr, Faust, który stał z Lutrem w stosunku, jest wzorem awanturniczości, paryski profesor Faustus Antcelins, przyjaciel Erazma, jest modelem erotyzmu, a ów Faustus o którym wspomina św. Augustyn w swych „Wyznaniach", daje postaci Fausta Goethowskiego podstawę filozoficzno teologiczną, i kończy swój wywód w ten sposób: „Z Faustem zatem występuje przed nami Erasmus, Luter i Augustyn, a z tego wszystkiego powstaje osoba jedna, twór nowy, podobny do dziecięcia w tem, że i on łączy w sobie moralne i fizyczne właściwości wielu przodków..."

A. Z.

Petőfi Szandor

Szkic biograficzno-literacki

napisał

Aleksander Lisiewicz.

W dniu 15 b. m. obchodził naród węgierski wielką uroczystość: w Budapeszcie odsłonięto pomnik jednego z wielkich synów węgierskiej ziemi — najulubieńszego poety narodowego Szandora Petőfiego. Imię jego znane dziś już w całej Europie, szczegółami życia jego a zwłaszcza tajemniczej śmierci interesowała się cała prasa europejska, a poezje przełożono w 12 językach. Cóż dopiero mówić o Węgrzech? Tam nie ma prawie miasta większego, w któremby nie było „ulicy Petőfiego", w rodzinnem mieście poety wznosi się już od lat kilku pomnik z jego popiersiem, a dom urodzenia zdobi pamiątkowa tablica, teraz zaś w stolicy kraju stanął ze składek całego narodu wspaniały pomnik spiżowy dłuta genialnego Adolfa Huszar'a. Gdy nadto dodamy, że poezje jego, wydane po raz dwudziesty i któryś w r, 1879, przez towarzystwo „Athaeneum," w przeciągu kilku miesięcy rozeszły się w 30.000 egzemplarzy — co więcej, że utwory te przeszły już w usta ludu i przy każdej sposobności — jak to sami słyszeliśmy — spiewane bywają, będzie to pono dostatecznym usprawiedliwieniem, że na postać i utwory tak znakomitego poety sąsiedniego narodu chcemy niniejszym szkicem zwrócić uwagę polskiej publiczności. Przemawia za tem i ten wzgląd, że mimo sympatji do Węgrów, i mimo wielu węzłów łączących w dziejach Polskę z Węgrami, literatura tego narodu zupełnie u nas nieznana, i tylko jeden Jókai, którego kilka romansów w ostatnich latach na polski język przełożono, zdołał u nas uzyskać jakie prawo obywatelstwa.

Żywot Petőfiego, jakkolwiek krótki, obfituje w ciekawe i rozliczne szczegóły. Jak niegdyś o wydanie na świat Homera 7 miast greckich spór wiodło, tak dziś toczy się spór w Węgrzech o Petőfiego: Felegyhaza, Szabadszallas i Kis Körös chciałyby być gniazdem rodzinnem poety. Dziś już jednak niewątpliwem jest, że zaszczyt ten przypadł w udziale ostatniemu z nich, Kis Körös, miasteczku w peszteńskim komitacie. Tam to urodził się poeta 1. stycznia 1823. Ojciec jego Stefan Petrovics — takie bowiem jest właściwe nazwisko poety, („Petőfi" było z początku jego pseudonimemu literackim a dopiero później przybrał je jako swoje nazwisko) — był skromnym gospodarzem a zarazem rzeźnikiem, i zamierzał rzemiosło swe przekazać pierworodnemu Aleksandrowi. Z trudnością dał się później odwieść od tego zamiaru, i wyprawił Aleksandra do szkół. Studja gimnazjalne odbywał młody Petrovics najpierw w Aszod, a następnie w Szemnicach. Tu zapoznał się z trupą wędrownych aktorów i zapalił się tak do desek teatralnych, że porzucił szkoły i puścił się z tą trupą na wędrówkę artystyczną, nie zważając na napomnienia ojca, wskutek czego też ojciec zaprzestał udzielać mu dalszych zasiłków, i Sandor zaznał niejednokrotnie wielkiego niedostatku. Na deskach teatralnych zupełnie nie wiodło się Petőfiemu: wbił sobie w głowę, że ma wielki talent i pragnął wciąż występować w dramatach, podczas gdy reżyser dawał mu role w modnych podówczas sztukach ludowych, a nawet kazał mu spiewać — oczywiście w chórze. Z tego powodu staczał ustawicznie walkę z reżyserem, aż wreszcie zrażony ciągłemi niepowodzeniami porzucił scenę w r. 1839 zaciągając się w Oedenburgu do wojska. Niedługo jednak służył wojskowo, gdyż w skutek ciężkiej choroby, na jaką zapadł podówczas, uwolniono go z szeregów. Z tego to czasu pochodzą najpierwsze jego piosenki; ciężkie chwile służby wojskowej osładzał sobie tworząc piosenki, i wypisując je na ścianach koszar i strażnic.

Po tych przykrych przejściach powrócił napowrot do szkół i w Papa kończył studja gimnazjalne. Z owego czasu mamy już o nim dokładniejsze wiadomości, podane przez Jókai'a, który również w Papa do szkół uczęszczał. Jókai tak kreśli te chwile: „Po raz pierwszy ujrzałem go na ulicy; szedł spiesznie z odkrytą szyją, w czarnym wytartym płaszczu, z pomiętym kapeluszem na głowie. Moi towarzysze znali go już i wołali doń: „Dzień dobry, smutny Węgrze!" — takiem bowiem obdarzono go przezwiskiem. On atoli nie odpowiedział na to pozdrowienie, lecz poszedł dalej tak szybkim krokiem, jakby to szło o wyścigi. W szkole rzadko tylko go widywałem i dla tego zacząłem z góry nań patrzeć. On zaś zamiast uczęszczać do szkoły, pisywał wiersze, które potem deklamował na posiedzeniach Towarzystwa oświaty (kepzötarsasag). Wtedy uczułem doń zazdrość. Potem dowiedziałem się, jak żyje: opuszczony od wszystkich, kopiował prace dla paniczów. Wówczas zacząłem go poważać. Gdyśmy się tam rozłączyli, kochałem go już."

Życie w Papa nie ścieliło się więc Petőfiemu po różach, lecz gwiazda jego zaczynała już wschodzić na firmamencie. Utwory jego podówczas pisane, drukowano w rozmaitych pismach, i one to zwróciły na siebie uwagę Michała Vörösmarty, sławnego liryka, późniejszego protektora i niejako drugiego ojca naszego poety.

Tymczasem ukończył Petőfi szkoły i teraz dopiero z świadectwem w ręku odważył się powrócić do domu rodzicielskiego, podówczas już w Duna-Vecse, dokąd zubożeli rodzice jego się byli przenieśli. Rodzice przyjęli go z radością, zwłaszcza matka, którą poeta uwielbiał i niejednokrotnie wierszem opiewał. Pokrzepiony widzeniem się z rodzicami udał się teraz Petőfi do Pesztu,

gdzie jakiś czas utrzymywał się tłumacząc romanse francuskie. Znowu jednak odezwała się w nim żądza zdobycia laurów na scenie, lecz zamiast nich spotkały go tylko upokorzenia i smutne rozczarowanie w teatrze w Debreczynie, gdzie bezskutecznie szczęścia próbował.

W tym czasie atoli poznał się z Albertem Pakh i zawiązał z nim ściślejsze stosunki, które stanowczo wpłynęły na dalszą jego przyszłość. Pakh bowiem nie tylko wsparł go pieniężnie, lecz także nakłonił do wydania zbioru rozrzuconych poezyj, i zapoznał go ze wspomnianym powyżej Vörösmarty'm. Długo szukał poeta naprózno nakładcy na swe poezje — dopiero życzliwe poparcie Vörösmartyego otwarło mu te zaklęte bramy i tak w r. 1844 wyszedł pierwszy zbiorek jego pieśni (150), za które dostał kilkaset złr. honorarjum.

Vörösmarty czuwał dalej nad nim i gdy wtedy właśnie Emeryk Vahot zakładał czasopismo belletrystyczne „Divatlap“ (Dziennik mód) i współredaktora doń poszukiwał, nie omieszkał Vörösmarty zalecić mu swego protegowanego. Z chwilą objęcia tej redakcji, rozpoczyna się właściwa epoka rozległej działalności literackiej Petöfiego. Pracę miał wprawdzie żmudną, i niebardzo wdzięczną, musiał bowiem do każdego numeru obok własnych utworów dostarczać także przekładów z obcych języków a nadto zajmować się korrektą czasopisma, za co wszystko pobierał oprócz utrzymania 15 złr. miesięcznie — atoli przynajmniej wolnym był od troski o chleb codzienny, i mógł więcej oddać się ulubionym swym pracom. To też w tym czasie robił obszerne studja literackie a zwłaszcza zajmował się Shakespear'em, którego „Korjolana“ później na węgierski język przełożył. Obok całego szeregu niezrównanych pieśni wydał w r. 1844 i 1845 większe utwory, mianowicie humorystyczny poemat p. t. „A helység kalapacsa“ (Młot wiejski) w 4 pieśniach, i epopeję ludową w 27 pieśniach p. t. „Janos vitéz“ (Bohater Janosz). W tych latach także kochał się kilkakrotnie a pod wpływem tego uczucia powstały piękne jego pieśni erotyczne p. t. „Perły miłości.“ Najgoretszą była jego miłość dla Etelki Csapo, dziewczyny 15-letniej, którą chciał pojąć za żonę, a która nagle umarła. Boleść swą po stracie kochanki wylał poeta w rzewnych strofach całego zbiorku poezji p. t. „Cypruslombok Etelka sirjaról“ (Liście cyprysu z grobu Etelki).

Z każdą chwilą rosła sława i wziętość poety a chociaż długi czas ciężkie musiał staczać walki z krytykami, obrońcami klassycyzmu, to jednak kierunek nadany przez niego poezji węgierskiej, zyskiwał zwolna ogólne uznanie. Młodzież zwłaszcza garnęła się do Petöfiego. W kawiarni Pillvax zbierał się pod jego egidą „decemvirat“ — przedstawiciele t. z. „młodych Węgier“ a mianowicie: Jókaj, Tompa, Lisznyai, Palffy, Obernyik, Pakh, Degré, Kerényi, Bérczy i Petöfi. Była to całkiem nowa szkoła literacka, którą on nazywał węgierską szkołą romantyczną. Zadaniem jej było wprowadzić do literatury język węgierski ludowy, wyrobić mu w niej prawo obywatelstwa, skarby ludu i ziemi węgierskiej — jej czardy i puszty oddać na własność narodu. Do spełnienia tego zadania potrzeba było nie mało sił, studjów, poczucia estetycznego i wyrobionego smaku. Petöfi umiał bardzo wiele, biegłym był w językach łacińskim, niemieckim, francuskim i angielskim, literaturę powszechną znał z oryginałów — jego geniusz w połączeniu z bezgraniczną, rzec można, miłością ojczyzny, sprostał temu zadaniu.

Oprócz wzrastającej wciąż sławy, zdołał Petöfi także pozyskać szczęśliwą miłość: W r. 1846 poznał w czasie podróży po Siedmiogrodzie Julię Szendrey, córkę rządcy dóbr hr. Karolyi w Endröd. Julia odznaczała się nie tylko niezwykłą pięknością, lecz także rzadkimi darami umysłu; zajmowała się nawet pracami poetyckimi, a między innymi przełożyła później na węgierski język bajki Andersena. Petöfi zapłonął ku niej namiętną miłością i zdołał pozyskać sobie jej wzajemność tak dalece, że gdy rodzice na ten związek żadną miarą zgodzić się nie chcieli, opuściła ich dom, ażeby zostać żoną poety. Ślub szczęśliwych kochanków odbył się 8 września 1847 r. a miodowe miesiące spędziła młoda para w Kolto, romantycznej posiadłości hr. Teleki'ego, który ich do siebie zaprosił. Z pobytu w Kolto pochodzi 28 pieśni, opiewających szczęście poety; należą one do najpiękniejszych jego utworów.

Młodzi małżonkowie powrócili następnie do Pesztu. Niedługiem jednak było już ich szczęście. Nadszedł brzemienny w wypadki rok 1848. Kiedy dnia 14 marca rozeszła się wieść o rewolucji we Wiedniu i spowodowała wzburzenie umysłów w Węgrzech, postanowili Jókai, Vasvary i Bulyovsky na wniosek Petöfiego wydać proklamację do narodu. W następnym dniu 15 marca — zebrało się liczne grono młodzieży w kawiarni Pillvax i tam liczni mowcy mieli patryotyczne mowy. Uczestnicy tego zgromadzenia udali się następnie wraz z niezliczonymi tłumami ludu na plac akademii, gdzie Petöfi oddeklamował wśród radośnych okrzyków tłumu, swój pełen żaru utwór zaczynający się od słów:

Talpra magyar, hi a haza!
Itt az idö, most vagy soha!
(Wstań Madyarze! Ojczyzna cię wzywa!
Już czas; teraz lub nigdy!)

Scenę tę porywającą uwieczniło dłuto rzeźbiarza Huszar'a. Odsłonięty właśnie pomnik Petöfiego w Budapeszcie przedstawia poetę w chwili, gdy do narodu woła swoje „Talpra magyar!“; jedną ręką trzyma ćwiartkę papieru, z której odczytuje ognisty wiersz drugą wznosi w górę z porywającym gestem, podczas gdy stopa jego depce rozerwane kajdany.

Na tej scenie nie skończył się dzień 15 marca. Tłum pociągnął do drukarni Heckenasta, którą natychmiast opanowano i użyto do wydrukowania sławnych 12 żądań narodu węgierskiego zatytułowanych słowami: „Czego życzy sobie naród węgierski?“ Skoro koło południa druk ten ukończono, udał się tłum, który tymczasem wzrósł do imponującej cyfry, pod wodzą Petöfiego do Budy, ażeby uwolnić uwięzionego patryotę Michała Tancsics'a, co się też udało. W następnym dniu illuminowano całe miasto, i pokazały się liczne transparenty przedstawiające obraz Petöfiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZIARNKA.

W ubiegłą niedzielę odegrano w teatrze Skarbkowskim, na „cześć śmierci Kościuszki“ (jak się oryginalnie wyrażały afisze,) znaną sztukę ludową „Kościuszko pod Racławicami“ a nazajutrz t. j. 16 bm. jako w rocznicę jego zgonu, odbyło się żałobne nabożeństwo w kościele bernardyńskim. W ten sposób, czytając na rogach ulic obydwa plakaty, przypomniał sobie ten i ów we Lwowie, że kiedyś, przed laty egzystował Kościuszko, olbrzym potężny, wielki duchem i sercem. W obec obojętności, z jaką poprzednich lat mijano pamiętne daty z ostatniego stulecia dziejów naszych, należy się uznanie tym, którzy tego roku pomyśleli przynajmniej o urządzeniu egzekwij żałobnych dla Kościuszki... Ale Kościuszko — pono to wiedzą i czują wszyscy — zasłużył na c o ś w i ę c e j u potomności, niżeli tylko na pietyzm, wyrażany — od czasu do czasu — ceremonją religijną... Ameryka, owa przysłowiowa kraina zimnych samolubów i liczygroszów, uważała jednak za swój święty obowiązek, postawić wspaniały posąg polskiemu bohaterowi, który w jej dziejach tak świetną odegrał rolę. I stanął w Waszyngtonie Kościuszko ze spiżu! A cóż zrobiono tym czasem dla nieśmiertelnego wodza z pod Racławic, w jego ojczyźnie? Czyż nie hańba i wstyd nam,

w obec całego świata i pokoleń przyszłych, żeśmy dotychczas nie zdobyli się nawet na jaki taki posąg, dla tego tak skromnego, a tak wielkiego człowieka? Prawda, że Kościuszko świeci jako wspaniała gwiazda pierwszorzędna w naszej historji, on jeden bowiem ratuje i pokrywa swą olbrzymią postacią ostatnie stulecie smutnych dziejów dawnej Rzeczypospolitej... że z czcią i miłością wymawiamy imię jego, że jest on jedynym, o którym pozostała pamięć chlubna wśród ludu naszego... lecz skoro zwyczajem od niepamiętnych wieków, że wielkim swoim synom wdzięczne narody wznoszą pomniki, to któż z naszych bardziej tego godny, jak Tadeusz Kościuszko?! Ludziom dobrej woli i czynu przypominamy, że już czas, aby o tem pomyśleć serjo, i myśl potem w czyn wprowadzić niezwłocznie...

* * *

W artykule wstępnym mówimy o naszym uniwersytecie; tu należy się słów kilka uroczystemu obchodowi jego otwarcia, który się odbył w ubiegły poniedziałek. Przy tej sposobności rektor obecny prof. Radziszewski wypowiedział mowę inauguracyjną, zaś prof. Biliński miał odczyt o socjaliźmie. Wiadomo jak się mówi w takich razach; toż i taki sympatyczny i sumienny człowiek jak profesor chemii naszej wszechnicy, przemawiając w charakterze rektora starał się ratować, jak mógł, nadwerężoną sławę almae matris. Liczne jednak braki naszej najwyższej uczelni nie dadzą się żadnemi załatać frazesami, ani dobremi chęciami. Fakt pozostanie faktem. Choroby, które dotknęły wielu profesorów w ubiegłym roku szkolnym, mogą być rzeczą przypadkową, przy innych jednak stosunkach, słabych profesorów zastąpić z korzyścią by mogli zdrowi docenci.

Uważamy też za konwencjonalną obronę to, co prof. Radziszewski powiedział o stanie naszej wszechnicy — z wielkiem zaś uznaniem wspomnieć musimy o serdecznych słowach, z któremi zwrócił się pan rektror do młodzieży. Powiedział on, że miłość własnego ludu, ojczystej mowy i obyczaju jest nietylko prawem, lecz i obowiązkiem młodzieży, zarówno Polaków, jak i Rusinów, że jednak po za temi obowiązkami leży obszerna dziedzina pracy cywilizacyjnej, na której obie narodowości społem pracować winny, zawiązek zaś tej łączności przedewszystkiem w murach uniwersyteckich, wśród młodzieży, począć się powinien.

Słowa te, wypowiedziane przez męża rzetelnej nauki i głębokiego przekonania, ze stanowiska szerszych zadań cywilizacyjnych, bardzo dobre zobiły wrażenie. Nie możemy tego, niestety, powiedzieć o wykładzie prof. Bilińskiego. Odczyt ten wypowiedziany został nie ze stanowiska nauki bezstronnej, z jakiego wypowiedziany być przedewszystkiem był powinien... Rozbierzemy go zresztą szczegółowiej, gdy się ukaże w druku.

* * *

„Po piętnastu latach pracy dziennikarskiej, zchodzę z tej areny, a raczej zepchnięty zostaję przez l i c h w i a r z y. „Wędrowca“ sprzedaję. Pozostawiam tylko sobie redakcję „Słownika geograficznego“ i będę kończył to dzieło... o c h ł o d z i e i g ł o d z i e.“ Oto ustęp z listu p. Feliksa Sulimierskiego, znanego warszawskiego publicysty, — pisanego do jednego z tutejszych literatów. Adresat pokazał nam ten list i pozwolił na przytoczenie powyższego ustępu zapewniając, że nie popełnimy niedyskrecji. Sulimierski to jeden z dzielnych a niezmordowanych pracowników postępu na niwie literatury i nauki, to jeden z ludzi, którzy przed kilkunastu laty zaczęli budzić społeczeństwo w Królestwie do pracy, co z wysiłkiem szermierzyli piórem i podtrzymywali ruch umysłowy. Przez lat kilkanaście redagował jedyne polskie pismo podróżnicze, wydawał pożyteczne dzieła tłumaczone z obcych języków— podjął myśl wydawnictwa „Słownika geograficznego,“ dzieła tak dla nas ważnego — i oto po tych wszystkich trudach pisze, że będzie nad ukochanem przez siebie wydawnitwem pracować... o c h ł o d z i e i g ł o d z i e. Smutny los, bolesna dola polskich pisarzy! Ale kto temu winien? Nikt inny tylko ogół, który wymaga od ludzi pióra tylko poświęceń —ale nie popiera jak należy prac najpoważniejszych.. Obojętność wobec takiego wydawnictwa, jak „Polski słownik geograficzny“ jest nie do darowania.. Oby choć w części naprawiono błąd popełniony — oby głos nasz nie przebrzmiał bez echu — oby znalazła się w Galicji choć garstka ludzi, któraby poparła pomnikowe wydawnictwo Sulimierskiego, i nie kazała mu pracować dla dobra społeczeństwa... o c h ł o d z i e i g ł o d z i e.. Wydawnictwo takie jak „Polski słownik geograficzny“ ma prawo żądać poparcia od ludzi, mających dobro powszechne nie tylko na ustach....

* * *

Skromna propozycja. Czy nie możnaby zwołać międzynarodowego kongresu, któryby zakazał Niemcom raz na zawsze pisać komedje? Bo też rzeczywiście rozpacz z tymi niemieckimi komedjopisarzami.. Co który napisze, to istna szopka, bez myśli, bez planu, bez prawdziwego humoru. Repertoar naszego teatru, dzięki predylekcji p. Miłaszewskiego do niemieckich utworów, został znowu „wzbogacony“ sztuką bezwartościową. Tytuł jej „Rei Reiflingen.“ Dużo w niej krętaniny po scenie, koloryt ckliwy mieszczański — oto wszystko Czy dyrekcja zapomniała, że istnieje na kuli ziemskiej niejaki naród Francuzów, który zaopatruje w wesołe i smaczne utwory wszystkie teatra Europy?

* * *

Minęły już dawno te czasy, kiedy kalendarz był jedynem dziełem spotykanem na biurkach tych mieszkańców prowincji, których tabele statystyczne nie zaliczały do analfabetów, minęły czasy, w których był on jedyną lekturą, ale mimo to jest dotychczas kalendarz książką pożyteczną, bez której obyć się trudno, zwłaszcza na prowincji, a która właśnie ze względu na wielkie rozpowszechnienie, może się stać nietylko bardzo pożytecznym podręcznikiem informacyjnym w wielu wypadkach, ale niemniej także wzbudzić potrafi pewien interes dla spraw obchodzących ogół. Kalendarza w tym rodzaju nie mamy dotychczas. Do najlepszych jeszcze należał zawsze humorystyczny kalendarz „Chochlika,“ który i w tym roku opuścił już prasę pod zmienioną firmą „Różowego Domina.“ Kalendarz ten zaleca się dobrze wykonanymi rysunkami, wśród których zalecają się portrety „patronów“ na każdy miesiąc. Treść literacka jest bardzo obfita, szczególnie odznaczają się piękną formą i dowcipem fejletony wierszowane, tudzież bardzo wesoły „Program wychowania panien,“ ilustrowany wybornymi rysunkami.

ZAPISKI.

Literatura.

* Teofil Lenartowicz, jak co roku wybierze się, w marcu do Bolonji na odczyty o literaturze słowiańskiej, a specjalnie polskiej. Wykłady te odbywać się będą w t. zw. „Akademji Mickiewicza.“ Poeta rozpocznie wykłady swoje od rozbioru „Marji“ Malczewskiego.

* Eliza Rulikowska, autorka znana pod pseudonimem Juljana Mörs z Porastora, której utwór, „Obrona Częstochowy“ raz był grany na naszej scenie, napisała nowy dramat p. t. „Miłość królewska.“ Ci, którzy tę pracę czytali, oddają jej wielkie pochwały. Pani Rulikowska przybywa stale w Bagici de Giuliano pod Pizą.

* Księgarnia Himelblaua w Krakowie ofiarowała tamtejszej czytelni akademickiej 1000 egzemplarzy „Poezyj“ Wasilewskiego, w komis po zniżonej cenie, z której pewna kwota uzyskana przy sprzedaży, ma być obróconą na odnowienie pomnika krakowskiego poety.

* „Kłosy“ w ostatnim numerze swoim pomieściły dwa listy Henryka Rzewuskiego, do Of. Dycalpa (Placyda Jankowskiego). Za temi listami przyjdą i inne autora „Listopada“, w których znakomity ten pisarz i człowiek... oryginalny, sam siebie odzwierciedla w żywej, pisanej pogawędce. Dycalpa zachęca, pragnie go upewnić o tem, iż posia-

jej wielki talent i pochlebnie mówi o niektórych jego pracach. Przeciwko krytykom swoim zżyma się, zapewniając, iż nimi gardzi. — Oryginalnem jest zdanie, wypowiedziane w jednym z listów: „Przyznam ci się, iż wolę poezję nierymowaną, niż te końcówki (rymy), co mi przypominają cymbały. Nasz język jest językiem myśli, a nie muzyki...“ Dycalpowi radzi, aby pisał prozą.

Teatr i Muzyka:

* W Krakowie przedstawiono przed kilku dniami nowy dramat Erkmana Chatriana „Les Rantzau“.

* Słynna śpiewaczka pani Lucca powraca niedługo z Paryża do Wiednia, i wystąpi pierwszy raz 26 bm. w operze „Poskromienie złośnicy“ a następnie w „Carmen.“

† Dnia 9 bm. zmarła w Darmstadzie w sędziwym wieku słynna swojego czasu śpiewaczka, co niegdyś współzawodniczyła z Catalani. Nazwisko jej Marjanna Schönberger Marconi. O niej to pisał jeszcze ongi w r. 1812 Goethe w swych „Tages und Jahreshefte.“

* Sławny, a znany i u nas dobrze kwartet szwedzki od dawna już nieistnieje. Z harmonią jego okazało się nader niezgodnem małżeństwo. Panna Aberg-Stockbridge jest już od roku szczęśliwą matką, panna Widsberg wyszła niedawno za mąż, a panna Soderlund oddaje się z zapałem rolnictwu na własnej swej posiadłości. Pani Marja Widsberg była już zamężną, gdy razem z towarzyszkami jeździła po Europie.

* Nowy teatr paryski Eden otwarty zostanie baletem „Excelsior“. Dyrekcja dla przedstawienia tej nowości, zaangażowała 135 włoskich tancerek, które już przybyły do Paryża na próby.

* W Londynie będzie się popisywać niebawem oryginalna trupa amerykańska, składająca się z samych kobiet; personal orkiestry również złożony jest z niewiast. Kobiety będą grać nawet męzkie role, a wątpić niepodobna, że oryginalny ten teatr licznie będzie odwidzany.

Gdzież się podziały czasy, kiedy to kobiety niemogły występować na scenie, a mężczyźni musieli grać role kochanek!

Sztuki piękne.

* „Hołd pruski“ wystawiony od niejakiego czasu we Wiedniu, jak to już zresztą donieśliśmy czytelnikom naszym w poprzednim numerze, ściąga tam liczne tłumy widzów i jest przedmiotem ogólnego zaciekawienia i podziwienia. Cesarz i arcyksiążęta Albrecht i Karol Ludwik, zwidziwszy go nie mieli dość słów pochlebnych dla mistrza krakowskiego, a fachowa krytyka dzienników wiedeńskich, z wyjątkiem tendencyjnego fejletonu w Tagblacie, który nazwał „Hołd“ „ein Politisch-Bild“, uznała go za jedną z najlepszych kreacyj Matejki, i w ogóle z całego historycznego malarstwa bieżącej epoki.

* Gmina ewangelicka w Krakowie zamówiła była u Siemiradzkiego dla kościoła swego obraz większych rozmiarów religijnej treści, mianowicie przedstawiający Chrystusa, uśmierzającego burzę na jeziorze. Temi dniami przełożeństwo gminy otrzymało list od mistrza Henryka, zawiadamiający, że obraz już w drodze do Krakowa. Między innemi pisze on także: „Zrobiłem, com mógł, aby się godnie wywiązać z włożonego na mnie zadania, i będę szczęśliwy, jeżli obraz mój, owoc długiej pracy, podjętej przezemnie z całą świadomością, iż ma pozostać na zawsze w ukochanym Krakowie, zadowoli Panów i usprawiedliwi ich zaufanie do mnie...“

* Autorem ilustracji do ustępu z Balladyny Słowackiego, oznaczonej godłem „Gopło“ i nagrodzonej później nagrodą przez krakowskie Koło literackie, jest p. Stanisław Rostworowski, student akademji sztuk pięknych w Petersburgu.

* W sobotę odbyło się w Wiedniu pod przewodnictwem Makarta zgromadzenie miesięczne stow. artystów; w celu wysłuchania sprawozdania z wystawy międzynarodowej. Z referatu wypływa, że wystawę odwidziło ogółem około pół miliona osób. Dochody z kart wejścia, katalogów i t. d. wynoszą 119.239 złr. Wystawionych było 1.297 przedmiotów sztuki, z których 129 (do sprzedania było tylko 646) przedmiotów zakupiono za kwotę 145 000. Z loterji po odciągnięciu kosztów będzie 37.000 złr. zysku.

* W Holandji znaleziono interesujące spisy obrazów mistrzów wraz z podaniem cen, pochodzące z XVII. i XVIII. wieku. Jeden z tych spisów jest katalogiem loterji w r. 1649 przedsięwziętej w Hadze, drugi zaś jest prostem wyliczeniem obrazów zakupionych przez jakiegoś nieznajomego w połowie XVIII. stulecia. Na loterji wymienionej sprzedano Tenier'go „Alchemistę“ za 25 zł. Cuypa bitwę za 52, Jan v. Goyena za 25 zł. W XVIII. wieku kupiono widok morski Van de Veldego za 400 zl. bitwę Wouwermana za 44 zł., damę przed zwierciadłem Gabrjela Metsu za 105 zł. a grupę chłopów Adr. Ostadego za 70 zł.

* Rzeźbiarz Silbernagel ukończył już statuę Rafaela, przeznaczoną do wiedeńskiego Künstlerhausu, i rozpoczął ją kuć w marmurze. Figura odznacza się wyrazem pełnym natchnienia i nadzwyczaj piękną pozą.

MISCELANEA.

Wymiar powierzchni ziemi. Pozornie zdaje się tym, którzy się uczyli ongi w szkołach geografii, że nad powierzchnią i kształtem ziemi nie ma się co zastanawiać, boć wiadomą przecie jest rzeczą, że jest ona kulą na obu biegunach nieco spłaszczoną, a średnica jej ma blisko 13.000 kilometrów. Tymczasem rzecz się nie przedstawia tak jasno w nauce, bo dość powiedzieć, że rozmaite pomiary powierzchni ziemi różnią się o 2. 660 kwadratowych mil, a uczeni napróżno siłą się oznaczyć kształt ziemi z wszelką dokładnością.

Gdyby się ziemia nie poruszała, to niezawodnie wszystkie jej części stałe, wskutek wzajemnego przyciągania, utworzyłyby kulę, a tylko morze, które zajmuje blisko $^4/_5$ całej powierzchni ziemskiej, przybrałoby postać owalną; że jednak ziemia wiruje naokoło swej osi, przeto siła odśrodkowa na biegunach prawie nie istnieje, a wzmaga się tylko bliżej równika. Naturalnym wynikiem tego jest, że przeważna masa kuli ziemskiej skupia się na równiku, a spłaszczenie na biegunach jest koniecznością. Newton oznaczył różnicę długości osi ziemskiej na równiku i na biegunach przez 228|229 dodał jednak, że ziemia nie jest wcale elipsoidem, ponieważ gęstość powierzchni ziemi nie jest wszędzie równą, a tem samem różną być musi i siła przyciągania. Gdyby ziemia była elipsoidem, zbadanie najmniejszej jej części pozwalałoby oznaczyć jej kształt i wielkość z wszelką dokładnością, że jednak nim nie jest, przeto trzeba badać każdą jej część z osobna, a dopiero później złożyć z tego całość.

Trzy są sposoby badania ziemi: astronomiczny, fizyczny i geodetyczny, z których ostatni poucza o wielkości ziemi, tamte o kształcie.

Badania za pomocą metody fizycznej polegają na spostrzeżeniu, że swobodnie zawieszone wahadło porusza się, im bliżej równika, coraz wolniej. Otoż za pomocą danej formułki da się obliczyć stopień spłaszczenia w pewnem miejscu. Mimo dokładności jednak, z jaką badania za pomocą wahadła robiono, pokazały się w rezultatach znaczne różnice. Metoda geodetyczna, jakkolwiek z wielu względów niedogodna, ma jednak wielkie zalety. Za pomocą triangulacji oznacza się oddalenie dwóch miejsc na powierzchni ziemi, za pomocą badań astronomicznych zaś oblicza się kąt, który tworzą promienie tych miejsc pociągnięte do zenitu, z punktem środkowym ziemi. Ponieważ w kuli równym kątom odpowiadają równe łuki, przeto gdyby ziemia była kulą, obliczenie oddalenia dwóch miejsc i wyrachowanie owych kątów przy zenitach, wystarczyłoby do oznaczenia obwodu ziemi. Ziemia jednak nie jest kulą, bo jak wiadomo, z przyczyn naturalnych na biegunach jest spłaszczoną, idzie więc o oznaczenie tego spłaszczenia w rozmaitych miejscach. Robiono już mnóstwo prób pod tym względem, ale dotąd nie doprowadziły one do zupełnie zadowalającego rezultatu, choć np. średnicę na równiku i biegunach obliczono dokładnie. Badacze uczeni wynachodzili i wynachodzą coraz nowe trudności, które nie łatwo dadzą się obliczyć a raczej usunąć. I tak np. wielki wpływ na badanie ziemi wywierają góry, szczególniej, co się tyczy siły przyciągania. Dalej pochylenie osi ziemskiej nie mało utrudnia pracę, a matematyka silić się, musi by usunąć te przeszkody.

Ostatecznie usunięcie ich nie leży w mocy jednego człowieka; ludzie rozmaitych zawodów muszą sobie podać ręce, by rozwiązać zadanie, nad którem ludzkość od dwóch tysięcy lat daremnie myśli. Toż gdy w r. 1861. jenerał pruski Baeyer podał myśl utworzenia stałej, międzynarodowej komisji do prac w tym kierunku, wszystkie państwa ochotnie się na to zgodziły; do dziś 69. ludzi fachowych, przez rządy mianowanych, pracuje nad oznaczeniem kształtu i wielkości ziemi! Rządy wspierają i materialnie tę komisję, a jaki będzie rezultat jej prac, czy się prędko dowiemy coś pewniejszego o naszej ziemi — zobaczymy.

Korespondencja Redakcji.

Panu **S. M.** we Lwowie. Za zwrócenie uwagi dziękujemy. Na przyszłość będziemy się starali uniknąć podobnych błędów korektorskich. Panu **M. Ga.** Prosimy o zgłoszenie się do redakcji.

Treść.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, pod zarządem Leona Zubalewicza.

W. Kuczabiński

Lwów, Rynek liczba 37.

powyżej księgarni p. Milikowskiego

Introligatornia

Skład papieru i przyborów szkolnych

do pisania rysowania i malowania.

KSIĄG handlowych i gospodarskich i dla Wielebnego Duchowieństwa

Książek do Nabożeństwa,

oprawnych w płótno, skórę, aksamit, heban, koś słoniową, perłową macicę i t. d.

Albumy na fotografie. Albumy do pisania. Pamiętniki. Pugilaresy. Notatki. Galanterje biurkowe, etażerkowe i kieszonkowe.

Obrazy i rozmaite małe obrazki. Ramki aksamitne. Teki do pisania. Książki do kopiowania itd.

Po nadzwyczaj niskich cenach.



Istniejący od 14 lat

Zakład fryzjerski

M. REISCHERA

we Lwowie,

przy placu św. Ducha naprzeciw głównego odwachu l. 4.

poleca swój

Salon do golenia, strzyżenia włosów i fryzowania,

tudzież

roboty perukarskie dla dam i panów.

Tenże zakład ma na składzie wszelkie

toaletowe przybory dla dam i

mężczyzn

po cenach najumiarkowańszych.

Nowości
z konfekcyi dla dam
jako to:
kostiumy, paletoty, dolmany,
zarzutki, płaszcze i t. p.
najnowszego fasonu
poleca **w największym** wyborze
Magazyn Schaverów
we Lwowie,
ulica Karola Ludwika liczba 3
Zamówienia z prowincyi uskutecznia odwrotną pocztą.

„CONCORDIA“

pierwszy lwowski zakład pogrzebowy

F. OPUCHLAK

plac Kapitulny liczba 3,

Urządza pogrzeby począwszy od najskromniejszych do najwspanialszych dla wszystkich stanów a wykonując ze znaną sumiennością jak najobszerniejsze zlecenia, uchyla wszelkie trudy pozostałej rodzinie.

wszelkie przybory pogrzebowe są zawsze w jak największym wyborze na składzie.

Główny skład trumien kruszcowych hermetycznych

(co do jakości i trwałości niezrównane)

Trumny drewniane dębowe, polituerowane, imitacje metalowych, obite aksamitem i atłasem. Materace do trumien, poduszki kapy atłasowe i adamaszkowe, satynowe mulowe i t. p.

Skład komisowy wieńców grobowych

metalowe, paciorkowe, z suchych i sztucznych kwiatów w bogatym wyborze, również szarfy i wstęgi do wieńców jedwabne, atłasowe i morowe z napisami i bez tychże.

Wieńce z żywych kwiatów wykonuje bez różnicy pory roku jak najspieszniej.

Zakład pogrzebowy „CONCORDIA“ urządza także kompletne pogrzeby na prowincji. Wszelkie zamówienia z prowincji bez różnicy czasu (w dzień czy w nocy) wykonuje bezzwłocznie.

„CONCORDIA“

F. Opuchlak.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Cennik pasów i kwiatów z zaszczytnie znanego składu nasion Teofila Łuckiego we Lwowie.